

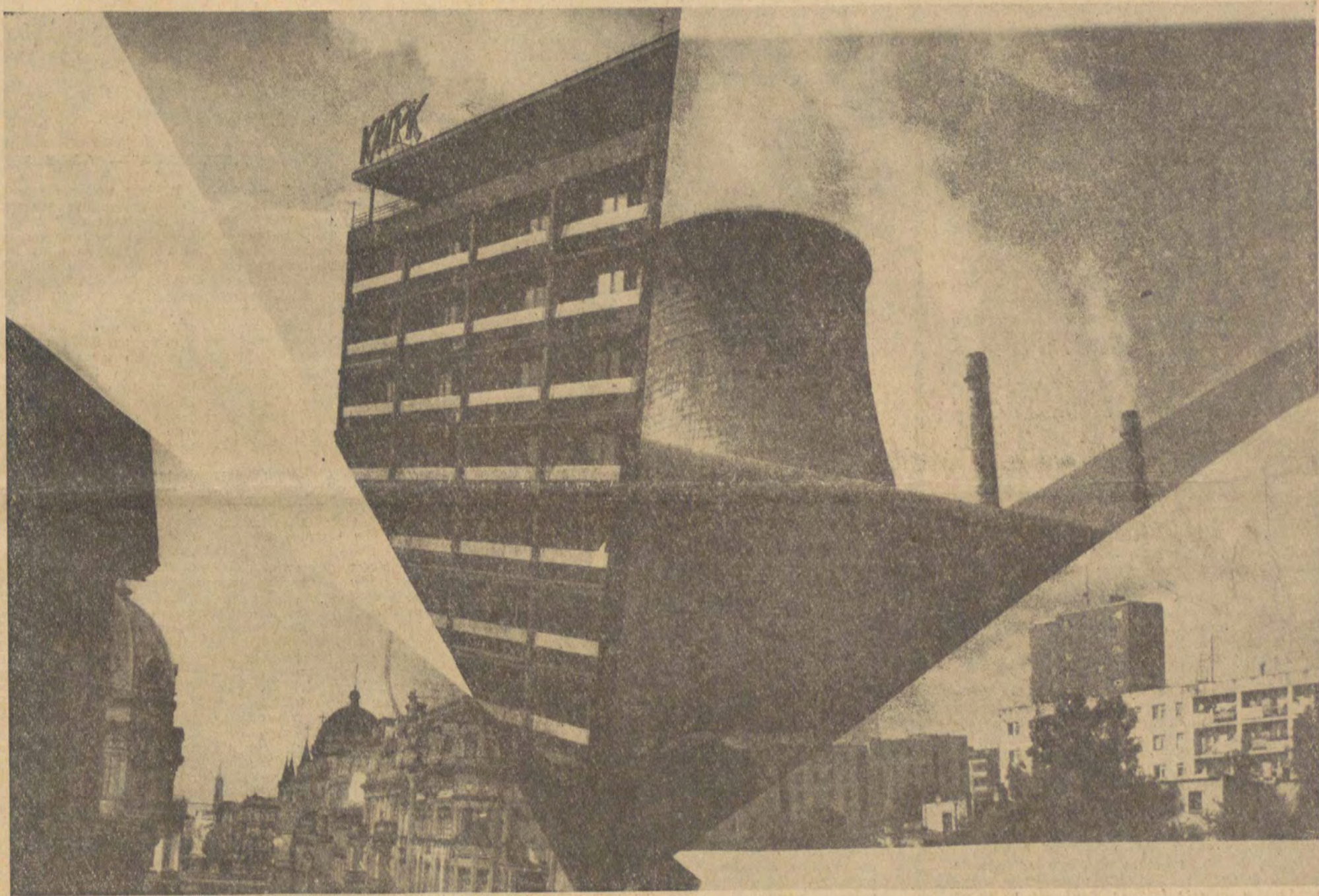
WITAMY VI ZJAZD PZPR

# odgłosy



49 (733)  
5. XII. 1971 r.  
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV



Fot. W. Parys

6 grudnia rozpoczyna się VI Zjazd PZPR. Nie będzie przesady, jeśli powiemy, że Zjazdem tym zainteresowany jest cały naród i że stanie się on wydarzeniem o doniosłym znaczeniu. Zjazd ten budzi również duże zainteresowanie za granicą.

Od pamiętnych wypadków grudniowych minie wkrótce dwanaście miesięcy. Rok, który dzieli nas od tamtego grudnia, był rokiem niezwykle pracowitym. Partia dokonała poważnych zmian programowych i personalnych, wprowadziła nowy styl pracy, zainicjowała nowe warunki działania, które przyczyniły się do narodzin prawdziwie nowego klimatu. Dziś nikt nie zaprzeczy, że żyje się nam lepiej, pracuje sprawniej, myśli — intensywniej. Nowe kierownictwo PZPR odwołało się do całego społeczeństwa, do partyjnych i bezpartyjnych, do wierzących i niewierzących, gdyż dobro kraju jest dobrem wszystkich jego obywateli. Szeroka dyskusja, która poprzedziła VI Zjazd Partii, dała wiele cennego materiału, wnosząc do programu działania na dziś i na jutro wiele śmiałych, ciekawych, a nade wszystko konstruktywnych propozycji i wniosków. Zaangażowanie i ofiarność ludzka, poczucie odpowiedzialności i znajomość rzeczywistości, jaką wykazało nasze społeczeństwo, budzą zrozumiałą ufność i jak najlepsze nadzieje.

Dwanaście miesięcy to niewiele w życiu jednego człowieka, a cóż dopiero — w życiu narodu. A przecież przez te minione dwanaście miesięcy Partia i Rząd, w oparciu o całe nasze społeczeństwo, zro-

bili bardzo wiele. Ktoś powiedział: jak wiele zrobiono, najlepiej świadczy o tym atmosfera w tramwaju, sklepie, na ulicy, w zakładzie pracy. Ludzie są sobie przychylniejsi, życzliwsi, życie stało się znośniejsze, uśmiech częściej gości na ludzkich twarzach. Mówimy, że w socjalizmie człowiek jest do-

## Wszystkie sprawy narodu

brać największym. Jak najbardziej słusznie, ale nie zawsze tak bywało. Nie zawsze piękne i słuszne słowa znajdowały pokrycie w rzeczywistości. Boleśne doświadczenia dnia wczorajszego stały się surową lekcją dla partii i narodu. Ale nie czas dziś na rozpamiętywanie tego, co działo się wczoraj. Dziś należy myśleć o tym, co będzie jutro. Jak pokiero-

wać dniem jutrzejszym, aby kraj nasz rozwijał się szybciej, niż dotychczas, aby ludziom było lepiej i aby praca stawała się nie przekleństwem i udręką, lecz twórczą radością człowieka.

Naszą wielką ojczyzną jest Polska, ale naszą małą ojczyzną — jest miasto, w którym mieszkamy i pracujemy. Przez nasze miasto patrzymy na kraj, w naszym mieście jak w soczewce odbija się będzie pomyślność ojczyzny. Łódź należała do miast zaniedbanych. Dziś Łódź startuje do nowego, korzystniejszego rozwoju. Zaczyna unowocześniać istniejące zakłady i budować nowe fabryki, powstają dalsze nowocześniejsze osiedla, a serce Łodzi — śródmieście — zostanie przebudowane. Ulegną rozwinięciu i poprawie komunikacja i handel. W ślad za reformami w przemyśle i gospodarce, a raczej równoległe z nimi odbywa się praca w dziedzinie nauki, kultury i oświaty. Nasze miasto ma wszystko, co potrzeba, aby mogły się ujawnić i rozwinąć inicjatywy kulturotwórcze, godne naszych czasów. Wydaje się, że najważniejsze w tym momencie winno być komasowanie sił i środków. Scalanie inicjatyw i wspólna ich realizacja. Winno wziąć górę to, co łączy, a nie to co dzieli. Kiedy do Katona Starszego przyszli ludzie z informacją, że trudności są wielkie i jest ich dużo, ten im odpowiedział: — Nie mówcie mi, ile ich jest i jakie one są, ale gdzie są. Pójdziemy tam, aby je pokonywać wspólnymi siłami.

Uczyńmy wszystko, aby wraz z Partią pełnąch dzieł odbudowy i odnowy skutecznie naprzód.

J. K.





## Transamazonika

„TIMES” — LONDYN

Do rejonów napięcia na świecie, którymi są Indochiny i Bliski Wschód, niestety — doszedł nowy. Konflikt na subkontynencie indyjskim, jeśli nawet napływające stamtąd informacje są przesadzone, może niepokoić. Powtarzające się incydenty na granicy mogą grozić wojną między Indiami i Pakistanem. Ambasador tego ostatniego kraju w Waszyngtonie oświadczył nawet w ub. tygodniu, że „ostatecznie znajdujemy się w stanie wojny, której my nie wypowiedzieliśmy, nie wypowiedzieliśmy również Indie, jest to jednak wojna...” Słowa te nie odpowiadają prawdzie, tym niemniej świadczą o stanie wysokiego napięcia, które podnieca Pakistan.

Odmienne reagują Indie. Indira Gandhi, przemawiając w parlamencie stwierdziła wyraźnie:

„Indie nie ogłosiły stanu wyjątkowego, tak, jak uczynił to Pakistan i nie zamierzają ogłosić, chyba, że dalsze agresywne poczynania ze strony Pakistanu zmuszą nas do takiego kroku w interesie bezpieczeństwa państwa”.

Odrzuciła ona wersję wydarzeń, w myśl której wojska indyjskie miałyby walczyć na terytorium Wschodniego Pakistanu. Wojska nasze — podkreśliła — otrzymały ścisłe rozkazy nieprzekraczania granicy i otwarcia ognia tylko we własnej obronie. Jest jednak faktem, że doszło do potyczki wówczas, kiedy wspierana czołgami piechota pakistańska przekroczyła granicę. To Pakistan grozi totalną wojną i prowadzi kampanię propagandową pod hasłem: „zdusić Indie”. Jej celem — mówiła dalej Indira Gandhi — jest odwrócenie uwagi opinii światowej pod Bangla Desz, gdzie bengalskie oddziały partyzantki prowadzą walkę przeciwko armii pakistańskiej.

Równocześnie korespondenci agencji zachodnich donoszą o sukcesach oddziałów Mukti Bahini, które posuwają się w głąb Pakistanu Wschodniego. Na kontrolowanym przez siebie terenie tworzą one cywilne władze administracyjne, ale życie nie biegnie tam jeszcze normalnym torem.

Komentatorzy podkreślają, że stworzenie atmosfery wojny leży w interesie Pakistanu, który ma nadzieję, iż w wytworzonej sytuacji ONZ wezwie do jej zamrożenia.

Równocześnie podejmowane są przez wielkie mocarstwa kroki, których celem jest zapobieżenie wojnie i znalezienie dróg pokojowego rozwiązania konfliktu. Jak powiodą się dyplomatyczne akcje — zobaczymy. Na razie są powody, aby rozwijaniem sytuacji w rejonach granicznych Indii i Pakistanu niepokoić się.

A teraz przeniesmy się do Europy, odnotowując w pierwszej kolejności wizytę ministra spraw zagranicznych NRF — Scheela w Związku Radzieckim. Rozpoczęła się ona od zapewnienia, danego jeszcze na lotnisku Wnukowo, przez gościa, że układy „będziemy ratyfikować”. Nie wymienił jednak terminu ratyfikacji, natomiast zaznaczył, że jednym z najważniejszych tematów jego rozmów w Moskwie jest merytoryczne powiązanie między porozumieniem berlińskim a uniesieniem układów do Bundestagu. Wyliczył i inne tematy rozmów, a wśród nich: przygotowania do europejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy oraz zrównoważoną redukcję zbrojeń na naszym kontynencie.

Min. Gromyko przyjazd swego NRF-owskiego kolegi określił mianem konsultacji politycznych, stwierdzając, że stanowią one „ważną formę między dwoma krajami”.

Jest rzeczą przypadkową, ale politycznie nieobojętną, że właśnie w czasie wizyty Scheela w Związku Radzieckim prowadzący rozmowy w imieniu obu państw niemieckich: Bahr i Kohl optymistycznie stwierdzili, iż nowy tydzień powinien przynieść sfinalizowanie rokowań. Wszystko zatem wskazuje, że w pierwszej połowie nowego roku nastąpi ratyfikacja układów.

Obraując w ub. tygodniu plenarne posiedzenie KC KPZR w jednym z punktów porządku dziennego wysłuchało referatu Leonida Breżniewa na temat międzynarodowej działalności radzieckiej partii po XXIV Zjeździe. Przyjął także uchwałę w tej sprawie. Jej fragment odnosi się do Europy i właśnie ratyfikacji układów, raz jeszcze podkreślając, iż szybkie wprowadzenie w życie układów będzie miało duże znaczenie dla całkowitego wykluczenia na kontynencie europejskim niebezpieczeństwa wybuchu wojny.

O tych, najistotniejszych przecież problemach, będzie także mowa na rozpoczynającym się w poniedziałek VI Zjeździe PZPR. Zapowiedziany liczny udział delegacji partii komunistycznych da z pewnością okazję do rozmów również o europejskim bezpieczeństwie.

Dzisiejszy przegląd międzynarodowych aktualności zakończymy garścią informacji o ludności świata. Właśnie w Nowym Jorku opublikowany został rocznik statystyczny ONZ. Dowiadujemy się z niego, że NA KULI ZIEMSKIEJ RODZI SIĘ OBECNIE PONAD DWA RAZY WIĘCEJ LUDZI NIŻ UMIERA i że w połowie ub. roku ziemia zamieszkiwana była przez 3.632 mln osób. Z tej liczby prawie 57 proc. żyje w Azji, niecałe 13 proc. w Europie. Krajami o największej liczbie ludności są Chiny i Indie, a następnie: Związek Radziecki, Stany Zjednoczone, Indonezja, Pakistan i Japonia. Polska znajduje się dokładnie na 20 miejscu.

Spośród 13 krajów świata, gdzie przyrost naturalny jest największy — ponad 50 promille, aż 7 leży w Afryce, pozostałe w Azji.

Jeśli wielkość przyrostu naturalnego utrzyma się na poziomie ostatnich 20 lat — w XXI stulecie będziemy z liczbą ok. 6,4 miliarda ludności.

W. ŚLAWSKI

Ten hałas nie jest jeszcze aż tak wielki, żeby mógł zaniepokoić leniwce, uczepione konarów tropikalnych drzew i pograżone w głębokim śnie, albo mewy beztropko szubujące nad bezkresem wód Amazonki, czy plemiona dzikusów, koczujących w głąbi niedostępnej dżungli. Jednakże z każdym dniem staje się on coraz bardziej wyraźny, przypominając niekiedy głucho dudnienie oddalonych grzmotów. To potężne spychacze huczą tak monotonnie. Wdzierając się w dziewicze lasy, zostawiają za sobą szeroki pas nagiej ziemi.

Budowę Transamazoniki — nowoczesnej autostrady, o długości pięciu tysięcy kilometrów — rozpoczęto w ubiegłym roku. Będzie ona przebiegała po terytorium Brazylii równoległe do biegu rzeki, ze wschodu na zachód, i połączy atlantyckie pobrzeże kraju z granicą peruwiańską — brazylijską. Transamazonika jest częścią gigantycznego projektu, który przewiduje wybudowanie sieci dróg automobilowych ogólnej długości 15.000 km. Przewiduje się także zbudowanie autostrady, przecinającej prostopadłe Transamazonikę i biegnącej w kierunku północnym — do Surinamu, francuskiej Gwinei, Kolumbii i Wenezueli, oraz w kierunku południowym — do przemysłowo rozwiniętych stanów Brazylii.

Już teraz na tereny wydarte dżungli udają się rodziny pierwszych osadników. Życie w niewielkich osadach, rozrzuconych nad brzegami Amazonki, ożywiło się już znacznie i przypomina niekiedy atmosferę osadnictwa amerykańskiego z okresu ujarzmania Dzikiego Zachodu, kiedy konflikty rozstrzygano z reguły przy pomocy colta. W Stairubie, położonej w rejonie kopalni złota, rozkwitła narkomania. Marihuana jest tam dosłownie na wagę złota.

Reżim wojskowy prezydenta Emílio Médicisa określił Transamazonikę „projektem stulecia”. Według słów osobistości oficjalnych, celem tego zamierzenia jest położenie kresu nędzy i zamętu politycznemu w północno-wschodnich stanach kraju, gdzie 30 milionów ludzi vegetuje w biedzie, na granicy śmierci głodowej. Rząd uważa, że autostrada otworzy dostęp do bogactw naturalnych ogromnego basenu Amazonki, równego nieomal terytorium Stanów Zjednoczonych, a także umożliwi osiedlenie na nowych terenach około 500 tys. Brazylijczyków. „Musimy opanować całe terytorium kraju i zrobimy to. Transamazonika jest kręgosłupem Brazylii” — powiedział minister transportu, Mario Andreazza.

Ale wielu Brazylijczyków nie odnosi się do tego projektu z takim entuzjazmem. I istnieją ku temu ważne powody. Po pierwsze — finansowanie budowy płynie ze środków, przeznaczonych uprzednio na rozwój przemysłowy północnych rejonów kraju. Po drugie — czego obawia się wielu Brazylijczyków — Transamazonika umożliwi wielkim amerykańskim kompaniom, w rodzaju „United States Steel” i „Union Carbide”, eksploatację naturalnych bogactw kraju. Chodzi tu w szczególności o pokłady rudy żelaza, obliczane na około 8 miliardów ton.

Jeden z najbardziej nieprzejrzanym krytyków Transamazoniki, były minister Roberto Campos utrzymuje, iż projekt ten może zaimponować tylko tym lu-

dzium, którzy przywiązują znaczenie, zresztą całkiem nieuzasadnione, do zagospodarowania nowych terenów, próbując w ten sposób uchylić się od rozwiązania innych, o wiele bardziej złożonych problemów.

Autorzy tego zamierzenia przypuszczają, iż autostrada położy kres nieomal feudalnym stosunkom agrarnym w przybrzeżnych rejonach Amazonki, gdzie garstka wszechmocnych obszarników eksploatuje za marne grosze bezrolnych biedaków. Za uprawę swych latyfundiów, brazylijscy posiadacze ziemscy zabierają biedakom 50 procent ich dochodów.

Rząd Brazylii wywłaszczył ziemię w obrębie 90 km po obu stronach projektowanej autostrady, oddając ją we władanie niezamożnym kolonistom, którym ocalał też bezpłatny przejazd do nowego miejsca osiedlenia, tani domek drewniany, działkę ziemi i zapomogę pieniężną.

Jednakże w praktyce planów tych nie realizuje się tak gładko. „Czekaliśmy z niecierpliwością, kiedy wrzeszcząc porucimy Rio Grande de Horte — opowiada jeden z osadników, 30-letni Joao Felix de Oliveira, który na początku tego roku przesiedlił się na nowe miejsce z żoną i trojgiem dzieci. — Gdy na koniec dojrzałem tutaj, okazało się, że w przeznaczonym dla nas domku nie można mieszkać. Szczeliny w podłodze były tak duże, że swobodnie przechodziła przez nie czapka. Za dnia kąsały nas boleśnie jadowite muchy, a w nocy — moskity”.

Nie ma łatwego życia tych 11.000 Brazylijczyków, którzy odważyli się wydzierać ziemię dżungli i budować na niej autostradę. Z reguły pracują po 12 godzin przez siedem dni tygodnia. Produkty żywnościowe zrzuca się z samolotów na spadających. Nierzaz muszą iść do dżungli, żeby tam szukać pożywienia. Życie robotników, kładących fundamenty pod Transamazonikę — to codzienna, niebezpieczna walka ze zmijami, ogromnymi mrówkami, rojami dzikich pszczoł, nie mówiąc już o 45-stopniowym żarze i chorobach, w rodzaju malarii i dżenterii. Ale ich największym wrogiem jest deszcz. W kwietniu tego roku, kiedy opady wyniosły około 625 mm, życie na trasie zamarło: maszyny na murze ugrzęzły w lepkiej mazi.

Dotąd zdarzyło się niewiele spotkań z Indianami na terenach budowy. Zamieszkuje ich tutaj około 8 tysięcy. Nim spychacze przystąpią do pracy, władze wysyłały do dżungli specjalne ekipy dla udobrućcia dzikich plemion, niosąc im podarki, przeważnie maczety, odzież, jakieś drobiazgi. W ruch idą także papierosy i „cachasa” — mocny napój spirytusowy z trzciny. Bardzo często Indianie otrzymują w prezencie „cywilizacyjne” choroby: gruźlicę, odrę, ospę, przeciwko którym są bezbronni. Pewnego razu podarowano Indianom mały odbiornik tranzystorowy, który, jak się później okazało, został od razu gęsto podziurawiony strzałami: najwidoczniej, słysząc nieznanie im dźwięki, Indianie uznali go za złego ducha.

Niedawno grupa 48 znanych uczonych brazylijskich podpisała oświadczenie, protestujące przeciwko przymusowej „cywilizacji” Indian, zganianych do specjalnych rezerwatów. Jak twierdzą specjaliści, obecna polityka,

stosowana wobec tych rdzennych mieszkańców kontynentu, skazuje Indian na wymarcie w przeciągu najbliższych 20 — 30 lat. Eksperci podkreślają, iż z dwóch milionów Indian, zamieszkujących terytorium Brazylii do początku portugalskiej kolonizacji w XVI wieku, pozostało ich dziś zaledwie pięćdziesiąt tysięcy. Stosunek władz do „problemu indiańskiego” najlepiej ilustruje następująca wypowiedź gen. Oscara Bandeira de Mello, odpowiedzialnego za politykę wobec Indian: „Możemy bezproduktywnie zmarnować następne 5—8 lat, flirtując z Indianami, którzy i tak będą protestować przeciwko budowie dróg w rodzaju Transamazoniki”.

Nie wiadomo, jak wpłynie

budowa Transamazoniki na ekologiczną równowagę w rejonie basenu Amazonki. Uczeń przestrzega, iż wyrąb wilgotnych lasów może spowodować niepożądane zmiany klimatyczne. Inne niebezpieczeństwo kryje się w tym, że górna, urodzajna warstwa gleby w tym rejonie jest bardzo cienka i jeśli zostanie wyjalowiona — trudno będzie ją użyźnić. Należy tam stosować nowoczesne metody prowadzenia gospodarki rolnej, włącznie z użyźnianiem i podłożmiennym, a o tym wszystkim osadnicy mają słabe pojęcie. Któregoś pięknego dnia może się okazać, iż deszcze splukają azotany z pól wzdłuż dżungli i ziemia przekształca się w żalozne, pustynne odłogi, pokryte krzewami.

## Ożywiona działalność „Mukti Bahini”

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

„Mukti bahini” — „żołnierze wolności” aktywizują działania we Wschodnim Pakistanie. Do walki z powstańcami władze sformowały specjalne oddziały tzw. „mścicieli”. Jednakże przyparzą oni rządowi więcej szkód, aniżeli pożytku. „Mściciele” twierdzą, że armia dała im nieograniczone prawo „przekształcenia życia powstańców w piekło”. Grąbią ludność wiejską, terroryzują kobiety. Wszystko to wywołuje odwrotny efekt: ludność coraz bardziej wspiera walkę „Mukti bahini”.

Dowództwo armii pakistańskiej — a wszystko na to wskazuje — tkwi w błędzie odnośnie prawdziwych nastrojów i sympatii ludności. Starania oficjalnych czynników, aby świat uwierzył, że jakoby „wszystko idzie dobrze”, najlepiej oddają oświadczenia gen. Nijazi, z którym miałem okazję rozmawiać. Jego zdaniem powstańcy nie przedstawiają poważnego problemu: „Mamy mścicieli, którzy się o nich troszcza”.

Ogień artyleryjski oddziałów hinduskich, zgrupowanych na granicy, też nie jest — jak utrzymuje generał — czymś groźnym. „Moi ludzie są spokojni. Dopóki są w schronach, mogą wypoczywać, a nawet pograć sobie w karty”.

Kiedy wspominałem o doniesieniach, że przywódca „Mukti bahini” wzywają Bengalczyków do przeniesienia walki na ulice Dakki. Nijazi powiedział: „Tym lepiej. Chciałbym, żeby to zrobili. Moje czołgi stoją o kilka kilometrów od miasta”. Po czym, mając widocznie na myśli rozprawę z ruchem powstańczym we Wschodnim Pakistanie w marcu tego roku, dodał: „Zobaczyli wtedy, do czego jesteśmy zdolni. Jeśli gdzieś potrzeba, powtórzymy to samo”.

Generał wyraźnie nie docenia postępującego osłabienia systemu bezpieczeństwa wewnętrznego we Wschodnim Pakistanie, jak również stopnia organizacji „Mukti bahini”, którzy w ostatnich dniach zdobyli w mieście sporo komisariatów policji. Wielu komendantów policji współpracuje w tajemnicy z powstańcami, a niektóre dzielnice Dakki są kontrolowane przez oddziały powstańców. Przedstawiciele „żołnierzy wolności” nawiązali ze mną kontakt w pół godziny po moim zamieszaniu w hotelu w Dace. I to w dodatku mimo bardzo ścisłej inwigilacji policji. Powstańcy „Mukti bahini” stworzyli całą sieć starannie zorganizowanych i zdyscyplinowanych grup bojowych.

## Niepożądani imigranci

„FRANCE PRESSE” — PARYŻ

Grupa 18 czarnoskórych Żydów przybyła niedawno samolotem do Tel Awiwu ze Stanów Zjednoczonych, via Amsterdam. Policja graniczna działająca na mocy rozporządzenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, powiadomiła prowadzącego grupę, że ani jemu, ani pozostałym członkom grupy nie zezwala się na wjazd do kraju i że wszyscy będą skierowani z powrotem do Holandii.

— Jesteśmy potomkami naszych ojców, Abrahama, Izaaka i Jakuba i mamy prawo żyć w tym kraju — powiedział jeden z przybyłych. Ktoś z grupy dodał, że kilka tysięcy czarnoskórych Żydów zamierza przyjechać do Izraela i że grupa nie przyjmie biletów powrotnych do Stanów Zjednoczonych, ponieważ „powrócił do siebie, do ojczyzny”.

Czarnoskórzy Żydzi byli ubrani w stroje afrykańskie, ozdobione wisiorami, na

których widniały emblematy gwiazdy Dawida. Na lotnisku oczekiwali na nich inni czarnoskórzy Żydzi, którzy przybyli do Izraela z górą rok temu i osiedlili się w Dimon.

Innej grupie, składającej się również z 18 czarnoskórych Żydów, w tej liczbie 9 dzieciom, pozwolono ponownie wjechać do Izraela, ponieważ wszyscy mieli bilety powrotne do Stanów Zjednoczonych oraz wystarczającą ilość pieniędzy na pobyt w kraju.

Izraelskiemu ministrowi spraw wewnętrznych zadano pytanie, co jest ostatnią przyczyną niechętnego stosunku władz izraelskich do „niepożądanych Żydów”. „Nie prowadzimy żadnej polityki, skierowanej przeciwko kolorowemu — odpowiedział minister — ale nie zgadzamy się na imigrację do Izraela różnego rodzaju niepożądanych elementów tylko dlatego, że popieramy turystykę. W przeszłości byliśmy zbyt tolerancyjni”.



Perspektywa rozwoju Łodzi na najbliższe pięć lat jest już przesądzona.

Niedawno ukazał się dokument, noszący roboczy tytuł: „Program rozwoju i modernizacji miasta Łodzi w okresie 1971–1975 oraz założenia na lata dalsze”. Program ten jest dorobkiem prawie półrocznej pracy komisji partyjno-rządowej, specjalnie w tym celu powołanej. Komisja ta przy współudziale wielu zainteresowanych resortów i instancji opracowała program konkretyzujący perspektywę rozwoju wszystkich niemalże dziedzin życia społeczno-gospodarczego m. Łodzi. Najważniejsze to: przemysł, gospodarka miejska oraz kultura.

Ramy niniejszej publikacji zamkną się jedynie omówieniem planowanego rozwoju i modernizacji przemysłu, jako że autorowi wydaje się, iż przemysł stanowi główny czynnik dalszego rozwoju łódzkiej aglomeracji.

**W** Łodzi dominował i dominuje nadal przemysł włókienniczy. Zatrudnia on obecnie około 70 proc. pracujących we wszystkich gałęziach przemysłu łódzkiego. Jest więc włókiennictwo główną gałęzią przemysłową Łodzi. Od dłuższego czasu obserwujemy stale rosnący na siłę postęp techniczny i naukowy także w przemyśle lekkim. Następują stale zmiany w technologiach produkcji, asortymencie, wzrasta wydajność pracy, zwiększa się liczba wykwalifikowanych pracowników. Do tej pory, mimo, że na świecie stale następował postęp w rozwoju włókiennictwa i jego strukturze, w Łodzi rozwój ten nie był odczuwalny. Skutkiem tego po kilkunastu latach uwidoczniła się znaczna degradacja przemysłu lekkiego w porównaniu z innymi „przemysłami łódzkimi”.

Projektowane kilka lat temu zmiany strukturalne w łódzkim włókiennictwie nie przyniosły oczekiwanych rezultatów, gdy tymczasem struktura innych gałęzi przemysłowych w Łodzi wykazywała wyraźne tempo korzystnych zmian. Na uwagę zasługuje tu przemysł elektromaszynowy, którego udział w gospodarce łódzkiej w latach 1960–1969 wzrósł z 13,9 proc. do 19,7 proc. (uwzględniając założenia projektu — w 1975 roku udział ten wzrosnąć ma do 24 proc.). A zdaniem prof. Jana Mujzela tylko ta grupa przemysłów jest zdolna skutecznie i względnie szybko unowocześnić strukturę gospodarki łódzkiej.

Koncepcją wiodącą w Programie jest stawka na unowocześnienie przemysłu lekkiego. Łódź nadal chce utrzymać status stolicy polskiego włókiennictwa. Postawienie więc na włóknó wydatek się słuszny, bo mające odbicie w całej włókienniczej historii Łodzi, postanowieniem. Dobrze się stało, że Program przewiduje głównie rozwój dziewiarstwa, pończosznicwa i przemysłu włókien sztucznych. Koniecznym jest tutaj także opracowywanie ciągle nowych rozwiązań technologicznych, pozwalających na utrzymanie się na poziomie nowoczesności i wysokiej jakości otrzymywanego produktu. W branży wełnianej, bawełnianej, dziewiarskiej mamy długie tradycje i dobrych fachowców. Gorzej jest z zapleczem naukowo-badawczym, ale powstają już nowe instytuty i laboratoria badawcze, rozbudowywana jest także ich baza materialna. Wpłynąć to musi wydatnie na proces jeszcze szybszego unowocześnienia górnej gałęzi przemysłowej Łodzi.

W Wytocznych na VI Zjazd partii mówi się o zmianie struktury przemysłu lekkiego, a zmienić strukturę można m.in. wprowadzając do przemysłu nowe urządzenia, nowe technologie, automatyzację — słowem szeroko rozumiany postęp techniczny. Ale wprowadzenie postępu technicznego to redukcja zatrudnienia. Poprzez redukcję uzyskamy możliwości do wprowadzenia na szeroką skalę zakrojonej automatyzacji i nowoczesności. Powstaje więc pytanie — co zrobić ze zwolnionymi ludźmi? Wyjście jest jedno i na pewno rokujące nadzieje na wzrost potencjału przemysłowego w Łodzi. Należałoby zastosować w takiej sytuacji tzw. „prawo przesunięcia”, czyli zatrudnienia zredukowanych pracowników włókiennictwa na odpowiednich stanowiskach w gałęziach przemysłowych bardziej nowoczesnych, odznaczających się większą dynamiką i nowoczesną technologią, wymagających wysokich kwalifikacji technicznych. Tylko wówczas otrzymalibyśmy rotację w zatrudnieniu, wzrost dynamiki, zlikwidowa-



Fot. A. Wach

MARIUSZ ADAM JAKUBOWSKI

## Łódzka droga do nowoczesności

libyśmy dotkliwą stabilność zatrudnienia w przemyśle włókienniczym i to głównie przyczyniłoby się do oczekiwanej zmiany struktury w łódzkim przemyśle lekkim. Oczywiście, osoby podlegające prawu przesunięcia należałoby przekwalifikować i w każdym niemal przypadku dokwalifikować, mając cały czas na uwadze ludzką psychikę i wrażliwość.

Bardzo istotną rolę w kształtowaniu nowoczesnego rozwoju przemysłu spełnia zaplecze naukowo-badawcze i techniczne. Powinniśmy je rozwijać bardziej dynamicznie, bowiem znaną prawdą we współczesnej światowej gospodarce jest, że nauka i badania technologiczne powinny poprzedzać uruchomienie produkcji. Na razie budujemy laboratoria, instytuty, biura projektowe i konstrukcyjne, zakłady doświadczalne, etc. mając nadzieję, że będą dobrze służyły naszemu przemysłowi. Przewiduje się, że w ciągu najbliższej pięćdziesiątki Łódź stanie się centrum naukowo-badawczym przemysłu lekkiego.

Trzeba kontynuować pracę nad dalszą perspektywą modernizacji i rozbudowy przemysłu lekkiego. Nie można przeczyć, że myślenie o losach Łodzi za dziesięć, dwadzieścia lat. Bardzo istotnym w tych rozważaniach jest spostrzeżenie prof. Jana Mujzela, który powiedział, że nie możemy cały czas jechać na jednym koniu, jakim jest włókiennictwo, musimy rozwijać i rozbudowywać przemysł inne, a szczególnie przemysł maszynowy i elektrotechniczny, nie zapominając o gwałtownie rozwijającej się motoryzacji w całym kraju. Prof. Mujzel stwierdził, że za kilkanaście lat Łódź będzie skupiskiem ludzi blisko półtoramilionowym i w takiej sytuacji zbyt głęboka specjalizacja, zbyt jednostronny profil gospodarczy, niezależnie od tego, jak bardzo ta perspektywa jest interesująca dzisiaj, może rodzić w dalszej przyszłości bardzo poważne zagrożenie.

Prof. Mujzel proponuje, aby utworzyć w Łodzi „trust mózgow”, który pod jakimkolwiek szyldem formalnym, prowadziłby badania nad dalszą przyszłością miasta. W skład tej grupy wchodzić powinni naukowcy, technicy i ekonomiści, teoretycy i praktycy, nie wykluczając ludzi bliżej związanych z produkcją. Ważne jest, aby grupa ta pracowała dla potrzeb politycznego i gospodarczego kierownictwa miasta i, aby kierownictwo to mogło w każdej chwili korzystać z badań i wyników prac grupy. Głównie chodzi tu o bieżącą informację o projektach, które

potem mogłyby być przeanalizowane i przedyskutowane w szerszym gronie celem ewentualnej akceptacji. Prof. Mujzel wskazuje także na konieczność stworzenia nie tylko samej koncepcji strategicznej, ale również budowania pod jej kątem (z dużym wyprzedzeniem czasowym) „przedprodukcyjnych punktów startu”. Punktów startu do ogólnokrajowego „konkursu” o zasoby produkcyjne. W takim konkursie muszą obowiązywać twarde kryteria gospodarczej efektywności. Z ich punktu widzenia wygrywa ten, kto dysponuje bardziej dojrzałymi przesłankami przedprodukcyjnymi w postaci zaplecza naukowo-badawczego, skonkretyzowanych idei i programów, wysokokwalifikowanej kadry.

Jeśli tylko utrzymamy przez najbliższe pięć lat tempo zaprogramowanych inwestycji, to zmiany będą widoczne. Chcemy do przemysłu lekkiego wprowadzić jak najdalej idącą nowoczesność, szkoda tylko, że w Łodzi produkujemy tak mało maszyn włókienniczych. Ważne jest, aby „Majed” i „Wifama” dynamicznie rozwijały się, doskonaliły technologię i jakość produkcji, aby specjalizowały się w produkowanych maszynach i urządzeniach. Koniecznym staje się staranne rozważanie zakresu i kierunku często kłopotliwego i drogiego importu. Nie trzeba być ekonomistą, aby rozumieć, że bardziej oplaća się eksport maszyn a import surowca, niż odwrotnie — eksport tkanin a import drogich urządzeń.

Łódź powinna stać się centrum budowy maszyn włókienniczych i pozostać centrum włókiennictwa.

Jak powiedział Jerzy Cianciara, kierownik Wydziału Ekonomicznego KŁ PZPR, istnieją możliwości uzyskania pewnych nakładów inwestycyjnych, jeżeli tylko wydatki te okażą się ekonomicznie uzasadnione. Niektórych przesunąć można dokonać z otrzymanej już kwoty 34,5 miliarda złotych. Tow. Cianciara stwierdził, że nie wszystko da się rozwiązać w czasie jednej pięćdziesiątki i z tego właśnie wypływa projekt dynamizacji przemysłu na lata dalsze. Zakłady „Elster” rozpoczną produkcję w 1973 roku, w trakcie budowy jest odlewnia dla „Wifamy”. Przebudowuje się i modernizuje Zakłady Kserograficzne, Fabrykę Zegarów i Zakłady Motoryzacyjne przy ul. Przybyszewskiego.

Problemy rozwoju przemysłu łódzkiego są w trakcie rozwiązań, bądź znajdują się w Programie.

Wielokrotnie mówiono o imporcie myśli technicznej i naukowej, tymczasem dla łódzkiego przemysłu lekkiego konieczny jest instytut włókiennictwa z prawdziwego zdarzenia, potrzebne jest laboratorium wełny i jedwabiu. Placówki te powinny pracować dla potrzeb przemysłu, a nie dla samych badań.

Czy nie należałoby postawić pytania: dlaczego w Łodzi nie rozwijamy na szeroką skalę przemysłu motoryzacyjnego? Przecież są w mieście dwa zakłady motoryzacyjne, jest biuro konstrukcyjne, jest Politechnika. Oczywiście, w chwili obecnej nic nie zmienimy — Bielsko i Tychy wygrały przetarg — a my powinniśmy nastawić się na kooperację, sprawną i prężną, zakrojoną na szeroką skalę, taką aby w przyszłości, za lat dziesięć czy piętnaście, pozwoliła rozwinąć w Łodzi nowoczesny przemysł samochodowy.

Realność Programu zależy od wielu usprawnień praktycznych w zakresie przebiegu procesu inwestycyjnego. Zadanie tego usprawnienia powinno być dominantą i koniecznością. W realizacji muszą być przede wszystkim wykorzystane wszystkie środki organizacyjno-techniczne.

Trzeba wskazywać, z czego naprawdę powinniśmy się już dziś cieszyć i być dumni, co jest żywo i istotnym czynnikiem rozwojowym, prawdziwym sukcesem.

### W NASTĘPNYM NUMERZE

#### „ODGŁOSÓW”:

- \* **W. NATANSON** — O mecenacie artystycznym
- \* **A. MAKOWIECKI** — Karnawał samopałów
- \* **K. BADZIAK** — Wielbiciel Temidy

oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna



# Listy do redakcji

## SZANOWNA REDAKCJO!

Nawiązując do opublikowanych ostatnio w „Odgłosach” polemicznych artykułów: A. Poniatowskiej „Wieżowce i moda (artykuł dyskusyjny)” (nr 42) i L. Włodkowskiego „Wysokościowa mitologia” (nr 44) chcielibyśmy jako „Towarzystwo Urbanistów Polskich zgłosić kilka uwag dotyczących wieżowców, mody, mitologii i nagiej prawdy.

Nas, przedstawicieli środowiska twórczego związanego z projektowaniem i rozbudową miasta, szczególnie cieszy fakt, że sprawy rozwoju i modernizacji Łodzi a tym samym kształtu i zasad jej zabudowy stały się jednym z głównych przedmiotów zainteresowania opinii publicznej. Praca twórcza architekta, inżyniera, ekonomisty, geografa, socjologa i innych projektantów zajmujących się kształtowaniem przestrzeni i tak zwana urbanistyka wymaga stałej konfrontacji z opinią społeczną. Dzięki niej efekty naszej pracy mogą być coraz lepsze, stwarzając coraz korzystniejsze ramy materialnej i emocjonalnej egzystencji społeczeństwa przez wiele dziesiątków lat.

Nasze środowisko zawodowe jest w dużym stopniu odpowiedzialne za obecny kształt miasta i regionu, a zdajemy sobie sprawę z tego, że w wielu elementach nie odpowiada on rzeczywistym potrzebom społecznym. Ocena dotychczasowego działania — bez względu na to z jakiej inicjatywy były podejmowane decyzje i jaki był w nich udział przedstawicieli naszego środowiska twórczego — stała się przez ostatnie miesiące w naszej organizacji przedmiotem szeroko zakrojonej dyskusji przedjazdowej. W ramach tej dyskusji pragniemy wyrazić nasz pogląd na problemy poruszone we wspomnianych artykułach.

Uważamy, że szaryzna zabudowy Łodzi (niektóre wyjątki potwierdzają regule), brak wyraźnych rysujących się nie tylko w sylwetce miasta, ale i w psychice jego mieszkańców architektonicznych i urbanistycznych nowoczesnych akcentów, stanowiących wizytówkę miasta, narzucają potrzebę szybkiego i radykalnego działania w celu usunięcia tych braków. Trzeba doprowadzić do zlikwidowania tego stanu powodującego szereg niekorzystnych zjawisk społecznych, jak choćby wyrobionego poglądu o „niekochanym mieście”. Całkowicie zrozumiałe jest i uzasadnione pragnienie powstania w Łodzi, a przede wszystkim w jej centrum obiektów świadczących o wielkości i znaczeniu miasta.

Sądymy, że co do tak zarysowanego problemu nie ma spornych poglądów. Polemika, przyjmująca czasami gwałtowne i nie zawsze demokratyczne formy, rozpoczyna się od momentu wyboru owych elementów wielkomiłośności.

Naszym zdaniem do chwili, gdy ten wybór nie został swia-

domie i jednoznacznie dokonany, dyskusja nie jest spóźniona. Czas dyskusji nie może być w tym przypadku uznany za zmarnowane dobro społeczne. Wprost przeciwnie: dopóki nie podjęte zostały wiążące decyzje naszym obowiązkiem jest rozważać słuszność i prawidłowość różnych projektów i koncepcji. Podejmowanie decyzji bez rozpatrzenia alternatywnych kompleksowych projektów i obiektywnej oceny nie tylko wysokości kubatury itp. technicznych cech budynków, ale również prawidłowości lokalizacji, warunków użytkowania i funkcjonowania, kosztów eksploatacji trzeba uznać za niewłaściwe nie tylko z ekonomicznego ale również i to przede wszystkim, społecznego punktu widzenia. Nie można zrezygnować z dogłębnej analizy tylko w tym celu, by już, szybko, na gorąco wyjść z przysłowiowych opłotków.

Takiej właśnie gruntownej fachowej wszechstronnej dyskusji na temat zabudowy i zagospodarowania przestrzennego centrum miasta i Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej — wbrew pozorom — nie ma. Chociaż kilka lat temu na koncepcję zagospodarowania obu tych obszarów przeprowadzono konkursy urbanistyczne, dotychczas nie opracowano wynikowych kompleksowych projektów tych dzielnic. Dziś już nikogo nie trzeba przekonywać, że takie projekty są niezbędne dla dokonania przebudowy tego najważniejszego fragmentu miasta.

Prace projektowe dla SDM nie uhonorowały w pełni zwycięstw pokonkursowych, w których uznano za słuszne wprowadzenie zabudowy między XI a XX kondygnacjami. Nie uwzględniono w nich też skutków późniejszych studiów komunikacyjnych do planu ogólnego zagospodarowania miasta odnoszących się do przyszłej zabudowy metra w Łodzi. Jest sprawą oczywistą, że koncepcja przeprowadzenia metra przez centrum i SDM musi znaleźć odbicie w rozwiązaniu przestrzennym tych dzielnic.

Niestety projekt zagospodarowania SDM został przedstawiony do dyskusji w środowisku urbanistyczno-architektonicznym dopiero w momencie, gdy spychać był już na budowie pierwszego budynku. W dodatku w międzyczasie podobno dla przyspieszenia sprawy — rozdzielono projektowanie dzielnic powierzając wykonanie budynku Miastoprojektowi, a pozostawiając opracowywanie projektu zagospodarowania w Instytutprojekte.

Uzyskane wyniki projektowania SDM są niedoskonałe i mogą — naszym zdaniem — stanowić jedynie pośredni etap projektu, natomiast nie mogą być podstawą podjęcia decyzji o rozpoczęciu budowy. Głównym elementem wymagającym nie tylko wyjaśnienia, ale gruntownego opracowania jest problem wysokich kosztów budowy i

eksploatacji zaprojektowanego budynku. Obecna wersja nie stwarza lepszych warunków użytkowania mieszkań i korzystania z usług niż w przeciętnym osiedlu, natomiast powoduje podwyższenie kosztu 1 m kw. powierzchni mieszkania o ok. dwa tysiące złotych.

Do poważnych dyskusyjnych spraw, dotyczących SDM można dorzucić istotny fakt, że cały obszar przeznaczony na Śródmiejską Dzielnice Mieszkaniową nie jest jeszcze przygotowany do kompleksowej budowy a przecież przygotowanie realizacji powinno wyprzedzać samo inwestowanie w celu uzyskania właściwych efektów i odpowiednich warunków mieszkaniowych zarówno dla mieszkańców obiektów nowych jak i adaptowanych.

Stąd wynika duży niepokój i krytyczne głosy zarówno środowiska fachowców jak i innych mieszkańców miasta. Zastanawiamy się, czy stać nas na takie pomniki, jeżeli istnieją możliwości innych rozwiązań dających podobne efekty przestrzenne i plastyczne, a znacznie lepsze funkcjonalnie i użytkowo. Czy trzeba i czy użytkownicy chcą mieszkać na XXIV piętrze placu miesięcznie za przeciętne mieszkanie przeszło dwukrotnie więcej.

Wydaje się, że do zabudowy tak wysokiej bardziej predestynowane są budynki administracyjne, hotele, niż mieszkalne. Zresztą o charakterze centrum i śródmieścia Łodzi będzie decydowała nie tylko wysokość

budynków, ale również ich lokalizacja.

Rozumiejąc niecierpliwość z powodu faktycznej opieszałości w przygotowaniach do kompleksu inwestycji, które mogłyby chlubnie świadczyć o naszym mieście, zwracamy uwagę na potrzebę merytorycznego dopracowania i właściwego przygotowania decyzji o ich realizacji. W oparciu o dyskusje środowiskowe proponujemy powołanie jednego wielobranżowego zespołu projektowego dla opracowania ostatecznej wersji projektu SDM — łącznie planu zagospodarowania, architektury, konstrukcji i wszystkich pozostałych elementów inwestycji i urzędzenia terenów wolnych.

Byłoby błędem mniemać, że występujemy z zasady przeciwko wysokościowcom lub monumentalnym rozwiązaniom przestrzennym. Wprost przeciwnie, wyrażamy pogląd o potrzebie tego rodzaju zabudowy w Łodzi. Jednak naszym obowiązkiem jest wskazać nieprawidłowości i niebezpieczeństwa doraźnie podejmowanych niekompletnie przygotowanych decyzji. Naszym artykułem podtrzymujemy dyskusję i liczymy na dalsze wypowiedzi zarówno środowisk fachowych, publicystów jak i szerokiego społeczeństwa Łodzi, rzeczowych przyszłych użytkowników przygotowywanych dziś obiektów.

Sekretarz  
mgr Bolesław KRZEMIEN

Przewodniczący  
mgr Krzysztof KARSKI

## PANIE REDAKTORZE!

W nr 42 „Odgłosów” został zamieszczony mój artykuł pt. „Wieżowce i moda”, jak najsluszniej, moim zdaniem, zaopiniowany przez redakcję pod tytułem: artykuł dyskusyjny.

Artykuł był bowiem próbą recenzji architektury łódzkiej i jako taki zawierał w sobie pewien ładunek odczuć subiektywnych. A, że nie uważam mojej wiedzy w tej materii za absolutnie wystarczającą, chętnie skorzystałam z rozmowy z inż. J. Sadowskim, jednym z wybitniejszych łódzkich architektów, niejednokrotnie nagradzonym na różnych ogólnopolskich konkursach. Swoje doznania na temat architektury budownictwa i niskiego i wysokiego w Łodzi, skonsultowałam ponadto z poglądami innych osób, fachowców, których wiedzę i odwagę w głoszeniu poglądów, szanuję. Nie przypominam sobie, bym usiłowała zastawiać „sprytnie pułapkę” na kogokolwiek, a tym bardziej na L. Włodkowskiego, jak mi to zarzucza w odpowiedzi w art. „Wysokościowa mitologia” (Odgłosy — nr 44).

Treść artykułu mojego dotyczyła strony estetycznej tego co budujemy. O SDM napisałam tylko: „Jaka będzie Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa? Spelni na pewno zapotrzebowanie łodzian na gmachy ogromne i imponujące... Ale czy będzie piękna?” Nie pisałam ani o kosztach, ani o trudnościach, bo to nie było tematem

artykułu. Zaskoczyło mnie twierdzenie L. Włodkowskiego, który napisał, że „A. Poniatowska niedwuznacznie daje do zrozumienia, że należy jeszcze raz przedyskutować jej koncepcje, zbadać projekty i spokojnie podjąć dyskusję. Który to już raz?”

L. Włodkowski polemizuje więc z czymś czego nie napisałam. Ale skoro sam zaczął, na pytanie, „który to już raz?” odpowiadam:

— Pierwszy raz! Bo owszem był konkurs na SDM kilka lat temu i po nim dyskusja, ale taka robocza, pokonkursowa, wyłącznie z udziałem startujących w nim zespołów, nie mająca nic wspólnego z realizacją.

Dyskusje rozpoczęto w środowiskach, które w zasadzie dyskutowały często w gronie tylko własnym, z chwilą kiedy Karpark weszła na plac budowy, i utkwiała w wodzie. Projekt pierwszego wieżowca (chodzi o samą konstrukcję) rozpoczęto w marcu lub kwietniu w „Miastoprojektie”. I do tej pory żaden z jego autorów nie uważa, by był ukończony i absolutnie doskonały. Czemu się dziwić nie można chociażby ze względu na krótki czas poświęcony na jego opracowanie. Budowa Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej przerasta swoim ogromem przebudowę centrum Katowic. I nie można do niej przystąpić, mimo że wszyscy tego pragną, już natychmiast, nie będąc pod każdym względem do niej przygotowanym. A przygotowa-

ni nie jesteśmy. Wprawdzie LPBM nr 1 weszło już na plac budowy, ale kierownik budowy dysponuje na razie tylko projektem na lawę fundamentową — czyli na to co się znajduje będzie pod piwnicami. I niczym więcej. Specjaliści (z SARP, TUP i PZITB) uważają, że należy co najmniej na kilka tygodni wstrzymać się z budową i dopięć sprawę organizacyjnie. Niech mi autor „Wysokościowej mitologii” wybaczy, ale cenę wyżej zdanie kilkuset specjalistów, niż jego. Sprowokowana do tej wypowiedzi dodaje, że wołę teraz głośno niepopularne może wszędzie poglądy, aniżeli przez kilka lat robić wierszówkę na krytykowanie tempa, organizacji, czy też wyglądu SMD. Przy okazji dodaje, że zdanie „społeczna wymowa moich poglądów pozostawia domyslności Czytelnikom” przypomina mi argumenty używane w „dyskusjach” równo rok temu. Przypominam — mamy listopad 1971 i przedjazdową dyskusję, w której każdy głos się liczy.

W dyskusjach dnia dzisiejszego obowiązuje znajomość faktów. Z art. L. Włodkowskiego wynika, że nie bardzo wie, co na tym SDM będzie się budować, skoro nadmienia o różnicy kosztów pomiędzy budow-

niem niskim a wysokim wynoszącej... 28 zł. Nie wiem skąd te dane, skoro jeden z najtańszych w kraju typów budownictwa, stosowany w Łodzi typ „LSM” kosztuje w budownictwie niskim (5 kondygnacji) 2.317 zł za metr kwadratowy w średnowysokim (11 kondygnacji) 2.967 zł za metr kw. Nie taki metr kosztowałby w budynkach 24-kondygnacyjnych — nikt nie obliczał, bo na szczęście nikomu do głowy nie przyszło budować domów „LSM” (to są te wznoszone na Teofilowie) w Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. W śródmieściu zamierza się wznosić budynki do 24 kondygnacji o niestosowanej do tej pory technologii w Łodzi. Koszt bliżej niesprecyzowany — od 6 do 8 tys. zł za metr kwadratowy.

Nie rozumiem dlaczego mój głos w dyskusji — podkreślający konieczność wydobycia jak największej walorów estetycznych z wznoszonych aktualnie i w przyszłości obiektów sprawił mu taką przykrość. Czyżby uważał, że dotychczas budowana Łódź była skończeniem piękna? A kiedy mamy mówić o pięknie, jeśli nie na etapie projektowania?

A. PONIATOWSKA



Fot. A. Wach

JERZY GOS

# Ochrydzkie spotkania

Ohrd — niewielka macedońska miejscowość turystyczna, wspaniale położona wśród gór, nad jeziorem o tej samej nazwie — wital uczestników I' Międzynarodowego Seminarium Języka, Literatury i Kultury Macedońskiej tropikalną aurą i przysłowiową już macedoń-

ską gościnnością. Starożytne Lychnidos pełne zabytków z przeszłości greckiej, bizantyjskiej, słowiańskiej i tureckiej było wymienienie wybranym miejscem na sławistycznym zjazd naukowy. Wśród pamiątek i relikwii zamierzającej przeszłości szczególną uwagę przyku-

wają ślady życia i pracy Klimenta i Nauma — dwu znakomitych uczniów i kontynuatorów działalności Cyryla i Metodego. Na przeciwnych krańcach Jeziora Ochrydzkiego, na wyniosłościach terenu stoją dumnie dwie świątynie, noszące ich imiona.

Cerkiew św. Klimenta jest wspaniałą, trzynastowieczną budowlą, na której słowiańskim rysunku architektonicznym odcisnęła wyraźne swe piętno architektura wschodnia: turecka i bizantyjska. Zbudowana na gruzach autentycznej Klimentowej cerkwi kryje w swoim wnętrzu fascynujące freski i ikony, obrazujące życie i działalność jej patrona, Cerkiew św. Nauma wznosi się na samej granicy albańsko-jugosłowiańskiej. Jej sposób zabudowy, niezrównanie piękny ikonostas oraz freski i napisy w języku starocerkiewnosłowiańskim, świadczące o bytności tutaj wielkiego Nauma przyciągają liczne wycieczki krajowych i zagranicznych turystów.

Pomiędzy świątyniami, prawie w

centrum miasta króluje najwspanialszy zabytek, duma Macedonii — cerkiew św. Zofii. Pochodzi ona z IX wieku. Wewnątrz, częściowo zachowane, autentyczne freski z tego okresu, będące najstarszymi, znanymi w Europie przejawami słowiańskiej kultury sakralnej. Dziś — cerkiew św. Zofii chętnie otwiera swe starodawne podwoje dla artystów z całego świata, którzy w czasie trwania „Ochrydzkiego lata” koncertują tam i wystawiają swoje prace. Dwukrotnie mieliśmy możliwość gościć w św. Zofii. Pierwszy raz — na spektaklu skopijskiego teatru, który bawił nas doskonałe graną „Farsą o bohater-skim Naumie”, drugi raz — na pieczołowicie przygotowanej przez gospodarzy wystawie słowiańskich rękopisów, sięgających datą swego powstania czasów Cyryla i Metodego.

Obraz najdawniejszej słowiańskiej architektury Ochrydu nie byłby pełny, gdyby nie uwzględnić w nim najstarszego w dziejach Europy uniwersytetu, jak nazywa-

ją macedończycy założoną i prowadzoną przez Klimenta, w budynku cerkwi św. Pantelejmona, szkołę duchowną. Wśród murów tej uczelni powstały zapewne słynne „Żywoty Cyryla i Metodego” oraz przygotowywane przez jej założyciela kazania ludowe, najstarsze zabytki słowiańskiej literatury.

W takim otoczeniu, wśród wielu kulturalnych pamiątek starosłowiańskiej przeszłości, odbyło się w dniach 19. VIII — 2. IX. 1971 roku seminarium naukowe poświęcone dawnej, i tej współczesnej, macedońskiej kulturze, literaturze i językowi literackiemu. Zgromadziło ono 77 uczestników, reprezentujących 18 krajów z Europy i Stanów Zjednoczonych Ameryki. Najliczniejszą grupę przedstawiciele posiadali ośrodki uniwersyteckie z NRF, USA, Polski i oczywiście gospodarzy — naukowców Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii.

W oddanym, na czas trwania ob-  
rad, do dyspozycji uczestników



**P**rawidłowa odpowiedź powinna brzmieć: towarzystwo wzajemnej adoracji w klubie sportowym. Mowa tu, oczywiście, o Łódzkim Klubie Jeździeckim, słynnym onegdaj z urządzania wytwornych bałów amazońskich, a dziś znany bardziej z handlu końmi i z jeszcze paru innych rzeczy, które temu eleganckiemu towarzystwu zaszczytu raczej nie przynoszą. Wewnętrzne rozgrywki o rzeczy małe, jakiegoś walki podjazdowe, nieporozumienia towarzyskie, konflikty ambicjonalne, wzajemne oskarżenia, insynuacje, anonimy...

Trudno zresztą w ogóle rozgryźć o co tym ludziom chodzi. Podejrzewam, że o nic. Powoduje nimi autentyczna pasja jeździecka czy snobizm? Chcą uprawiać sport, czy obrót końmi? Społeczniczy to, czy rozrabia... cze? Nie sposób odpowiedzieć na te proste pytania. Tak wszystko tam u siebie pogmatwali, poplątali, pomieszali, że najbieglejszy inspektor nie dojdzie sedna rzeczy. Ale spróbować zawsze można. Okazja jest dobra, w przyszłym roku klub będzie obchodził 15-lecie swego istnienia, więc tym bardziej warto się jubilatowi przyjrzeć dokładnie. Wątpię, niestety, czy będzie to jubileusz radosny, jako że obchodzić go będą z poważnie obciążonym kontem finansowym.

Sport jeździecki to rzecz kosztowna. Podstawowym sprzętem w tym sporcie, oprócz butów z ostrogami, jest koń, który zżera dużo owsa, jeśli chcemy, żeby biegł klusem lub galopem. Pod tym względem sytuację w klubie charakteryzuje najlepiej ogłoszenie, jakie ukazało się w tym roku na drzwiach stajni w Łagiewnikach: „Z uwagi na brak owsa w dniu 13 i 14 lutego jazdy mogą odbywać się tylko w stepie”.

Zdarzył się nawet wypadek, że głodny koń zjadł nawóz spod siebie i zdechl. Zarząd klubu miał szczęście, że nie dowiedziało się o tym Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Wtedy prawdopodobnie do fury kłopotów, z jakimi się boryka, doszedłby jeszcze jeden i to bardzo poważny jako że opiekunowie zwierząt to humaniści ortodoksyjni.

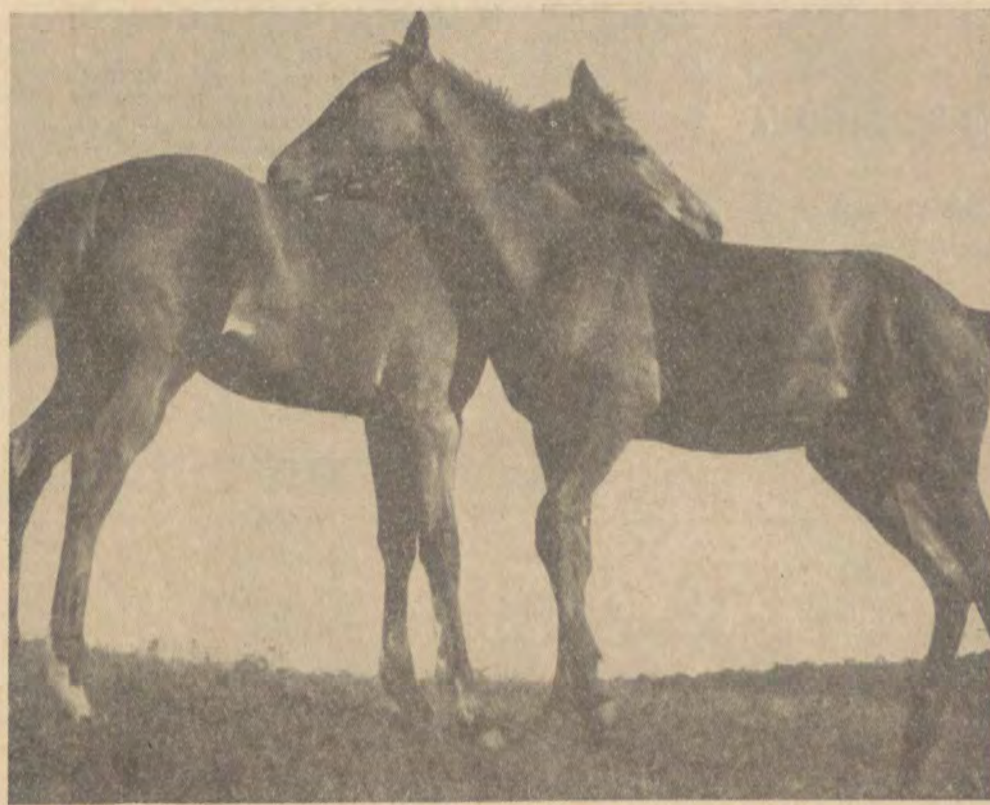
Chcąc wybrnąć z podbramkowej sytuacji finansowej działacza Łódzkiego Klubu Jeździeckiego wpadli na pomysł, żeby zacząć handel końmi. Idea pozornie piękna, ale, jak to zwykle z pięknymi ideami bywa, w praktyce przyniosła wątpliwe korzyści, przynajmniej dla klubu. Rzecz miała polegać na tym, że będą kupować surowe konie od chłopów oraz ze stadnin państwowych, ujeżdżać je i sprzedawać z zyskiem za dewizy. Za bająskie sumy,

jakie uzyskają z tego procederu, zbudują w Łagiewnikach gigantyczny ośrodek sportu jeździeckiego, tak, że prawie co drugi łodzian będzie mógł z niego korzystać.

Rzeczywistość okazała się mniej fantastyczna, niż koncepcje prezesa. Wizjoner z tego prezesa zapewne wspaniały, lecz realista kiepski i nie obrażając go, mam niejakie wątpliwości, czy rzeczywiście zna się tak dobrze na końskich sprawach, jak sam mniema. Jest niewątpliwie wielkim miłośnikiem tych wspaniałych zwierząt. Ale pamiętajmy, że każda wielka miłość jest ślepa. Niech dowodem będzie fakt, że zakupił niegdyś ślepa kobyłę i ponadto poczynił wiele innych, niefortunnych spekulacji, takich, jak zakup koni łykawych lub z zerwanymi ścięgnami. Usiłował mnie w rozmowie przekonywać, że konie łykawe są tak samo wartościowe jak każde inne, lecz wydała mi się, że mu się to jednak nie udało. Szkoda, że obecny Zarząd Klubu odsunął od tych transakcji doświadczonego weterynarza, który jest również członkiem ŁKJ. Być może, był niewygodny, może miał wątpliwości co do sensu rozszerzania na tak dużą skalę hodowli zamiast sportu. W każdym bądź razie postradał zaufanie i został odsunięty od kierownictwa. Myślę, że ze szkoda dla interesów klubu. Jest to właśnie wynik ambicjonalnych rozgrywek natury towarzyskiej.

Żeby było jeszcze dziwniej, kawalerzyści z Łagiewnik przed trzema laty dokonali zajazdu na opustoszały majątek w Charzewie. Też z tym Charzewem sprawa niejasna. Oni twierdzą, że majątek był zdewastowany i skazany na ruinę i prawdopodobnie mają rację. Włożyli tam sporo pracy, zainstalowali wodę, nawet jakąś świetlicę urządzili dla młodzieży, a na odłogach zasiali żytko i owies. Jednym słowem są głęboko przekonani, że odwalili kawał dobrej roboty i naprawdę trudno im wyperswadować, że uczynili źle, zajmując bezprawnie cudzą własność. W dodatku nie chcieli płacić nawet czynszu. Właściciel nie tyle może nie chciał płacić, co nie miał czym.

Zapomniałem dodać, że ten majątek potrzebny im był w związku z planami rozszerzenia hodowli i handlu końmi, która to akcja miała ich właśnie wciągnąć z finansowej opresji. Stało się wręcz coś przeciwnego, jeszcze bardziej się zadłużyli i w rezultacie władze miejskie zablokowały im konto oraz nakazały eksmisję. Zdenerwował się także prezes ŁKKFiT, który wstrzymał dotacje na rozwój klubu. Tylko z łitości dla wygłodniałych koni dał im jeszcze w tym roku 10.000 złotych na rzekomy remont, zdając sobie zresztą



KAROL BADZIAK

## Klub sportowy czy towarzystwo wzajemnej adoracji?

sprawę, że pieniądze te przeznaczają na kupno owsa. Szlachetny to gest i mam nadzieję, że przełożeni pana prezesa mu to wybaczą. Te jaskrawe przykłady niegospodarności oraz pogłoski docierające z kół zatrudnianych kiepskim stanem klubowej gospodarki spowodowały, że władze miasta wysłały do Łagiewnik inspektorów IKR. Inspektorzy podobno nerwowo się tam rozchorowali i osiweli z wrażenia, jakie wywarł na nich ogólny bałagan, który tam zastał. Buchalterię klubową prowadził bowiem od wielu lat ponad 80-letni artylerzysta. Mam właśnie przed sobą jego sprawozdanie, w którym przekazując księgowość wyznaczoną o-

statnio pracownicze LZS, niejako rozliczył się ze swej pracy, rozliczając równocześnie i przy tej okazji klub. Staruszek ten w wielu sprawach, być może się nie orientował, co zresztą sam w pewnym miejscu przyznał, ale braku skrupulatności i uczciwości nikt mu chyba zarzucić nie może.

Oto fragmenty jego sprawozdania:

„Podczas tej kontroli, przy której byłem stale obecny, w żadnym z poruszonych wypadków nie mogłem przedstawić się zarzutom, że klub prowadzony jest niefachowo, niezadanie i niesubordynowanie. Dotyczyło to każdej dziedziny działalności klubu... Byłoby bardzo żmudną pracą przewertowa-

nie książki jazdy i książki opłat za jazdy w Łagiewnikach i w Charzewie za okres trzech lat i ustalenie, kto i z jakiego tytułu korzystał z bezpłatnych jazd. Połączona komisja, która miała więcej czasu, ustaliła, że 32 osoby jeździły w tym czasie bez opłacenia jazd, a suma nie uzyskanych środków (z tego tytułu) wynosi ok. 100.000 zł.

Na stracie w zorganizowanym biegu myśliwskim w roku 1969 składają się: manco na bigosie i wódce — 629 zł; koszty reprezentacji prezesa — 390 zł; brak wpływu za jazdy koni spacerowych zabranych z Łagiewnik do Charzewa na 3 dni — 480 zł.

Zbyt duże koszty z wyjazdami na aukcje koni. Zdarzył się wypadek, że przy wysłce 8 koni wyjechał: Prezydium Zarządu, skarbnik, tłumacz, trener

14 zawodników — razem 10 osób. A wyjazdów z tak liczną obsadą było kilka i dopiero ostatnio zostały zredukowane. Wypłacenie diet komitetowi organizacyjnemu i własnym zawodnikom na zawody w Zgierz (odległość od Łagiewnik do Zgierza — 4 km).

Urządzanie przyjęć, co swego czasu było zakazane tak przez b. Prezydenta Cyrankiewicza, jak i Główny Kom. K. F. J. T., a obecnie powtórzone przez Premiera Jaroszewicza”.

Wynika z tego niedwuznacznie, że dość swawolnie sobie panowie w Łagiewnikach poczynali. Przedziwna jest zresztą i dla mnie osobście dość niezrozumiała postawa tych ludzi. Kiedy władze miejskie domagają się od nich skrupulatności w gospodarowaniu społecznym mieniem i funduszami, oni uważają, że to biurokracja. Zapominają, że między porządkiem a biurokracją jest jakaś różnica. Przecież w ich własnym interesie leży, aby nie padł na nich krzywdzący cień podejrzenia. Wydaje mi się, że mamy tu do czynienia z tym specyficznym typem społeczników, którzy działają społecznie, lecz nie potrafia myśleć poważnie i odpowiedzialnie kategoriami społecznymi. Ponoś ich widocznie zbyt często fantazja. Uważają, że sam fakt, iż działają, usprawiedliwia ich wszystkie niewłaściwości w postępowaniu. Zapewne chcą dobrze, a wychodzi im źle. Myślę, że mimo dobrej woli, dużego zaangażowania, niewątpliwego wkładu pracy nie dają chyba gwarancji, iż poprowadzą klub prawidłowo. Zabręli w ślepią uliczkę i trzeba im, chyba, trochę pomóc, zawieszając działalność zarządu i ustanawiając komisarzy, którzy zajmą się uzdrowieniem sytuacji w klubie. Wierzę, iż prawdziwi miłośnicy sportu jeździeckiego — a tych jest przystającą większość w ŁKJ — przyjmą ten postulat z zadowoleniem. Inna zaś sprawa z towarzystwem wzajemnej adoracji. Jeśli chce się to towarzystwo bawić, to, proszę bardzo, lecz za własne pieniądze. Mimo bowiem pięknych słów o umasowieniu sportu jeździeckiego, o wciągnięciu szerokich kręgów młodzieży, o dewizach i o kontynuowaniu pięknej skądinąd tradycji ułańskiej w narodzie, skupia ten klub określona mutacja elity... Co prawda bardzo łatwo odeprzeć ewentualny zarzut elitarności i ekskluzywności tego klubu, albowiem zaproszono przecież ostatnio do wspólnych przejażdżek konnych drużynę ORMO. Jeszcze nie wiadomo, czy niebezpieczeństwo spacerów w łagiewnickim lesie z tego powodu zmalało, lecz struktura socjalna klubowego towarzystwa niewątpliwie znacznie została zdemokratyzowana.

zjazdu „Night Clubie” hotelu „Palace” w czwartek, 19 sierpnia odbyło się uroczyste otwarcie seminarium. Dokonał go Rektor Uniwersytetu im. Cyryla i Metodego w Skopju — prof. dr H. Polenaković oraz Dyrektor IV Seminarium — prof. dr B. Vidoeski. Program tegorocznego seminarium był bardzo bogaty. Przewidywał codzienne zajęcia lektoratowe, pozwalające nam poznać podstawy języka macedońskiego, bądź też doskonałą jego znajomość w grupach „konwersujących” pod bezpośrednim kierownictwem pracowników naukowych Uniwersytetu w Skopju. Podstawowe zadanie seminarium wypełniały, również codzienne, wykłady z zakresu literatury, języka i kultury macedońskiej oraz dyskusje, pozwalające na wymianę poglądów i konfrontację wyników badań naukowych macedońskich i zagranicznych slawistów. Obok zajęć sensu stricto naukowych uczestniczyliśmy w licznych turystycznych atrakcjach tego regionu oraz imprezach kultu-

ralnych, organizowanych przez gościnnych gospodarzy. Trudno byłoby na tym miejscu w całości scharakteryzować problematykę seminarium, niosącą ze sobą wiele nowych spojrzeń i wnikliwych przemyśleń macedońskich badaczy rodzimego folkloru, literatury i języka. Do najciekawszych zaliczyć trzeba prelekcję przewodniczącego macedońskiej akademii nauk, profesora Uniwersytetu w Skopju, wielce zasłużonego dla macedońskiej myśli naukowej językoznawcy, historyka literatury i poety — prof. dr Blaže Koneskiego. Ten serdeczny przyjaciel Polski, dobrze władający naszym językiem doskonale znawca naszej poezji mówił o „Kontaktach językowym między macedońską ludową a artystyczną poezją”. Pierwszy i drugi dzień obrad przyniosły jeszcze wykłady prof. Polenakovića o zbiorze Miladinovców oraz rozważania prof. B. Vidoeskiego nad „Systemem wokalnym w macedońskich dialektach”. Współczesną poezję macedońską

przedstawił prof. Milan Giurčinov — dziekan filozoficznego wydziału skopijskiego uniwersytetu. Scharakteryzował on krótko twórczość poszczególnych generacji macedońskich poetów, poczynając od „wielkiej trójcy” (A. Sopov, S. Janevski, B. Koneski) na debiutujących w latach 60—70 naszego wieku (C. Andreevski, S. Ivanovski, V. Vidieski, I. Canovski, T. Petrovski) kończąc. Współczesną poezję macedońską nurtuje problem określenia się, zajęcia aktywnej postawy wobec rodzimej tradycji, zagadnień bieżącego życia i wobec ciągle tworzącego się jeszcze — języka literackiego. Wśród tematów dominujących w twórczości pisarzy młodego pokolenia na pierwszy plan wybiła się problem narodowy w otoczek zagadnień społecznych, przewijających się przez współczesne życie Macedonii i innych republik Jugosławii. Macedońska poezja oscyluje wokół słowiańskiej i antycznej mitologii, wokół spraw zwykłych, codziennych oraz wokół tzw. zagadnień

refleksyjno-filozoficznych. To bogactwo i różnorodność tematyki, wielość zainteresowań pozwala macedońskiej poezji aktywnie uczestniczyć w życiu swego narodu. Kiedy wszystkim formalnościom stało się zadość w strużkim Domu Poezji popłynął nieprzerwanie czterodniowy potok poezji reprezentującej wiele narodów świata. Nie zabrakło i polskich pisarzy. W czasie krótkiej przerwy przed rozpoczęciem poetyckiej części pierwszego dnia rozmawiamy z Tadeuszem Różewiczem, Tymoteuszem Karpowiczem, Ludmiłą Marjańska — członkami polskiej delegacji na strużki festiwal. Wieczór pierwszy poświęcony został poezji serbskiej. W atmosferze wielkiego zainteresowania recytują swoje wiersze czołowi poeci serbscy Desanka Maksimović, Vasko Popa, Vito Marković, Božidar Milidragović, i inni. Fascynujące było to spotkanie w strużkim Domu Poezji przedstawicieli dwu generacji serbskich poetów. Przed naszymi oczami powstawała

żywa antologia współczesnej serbskiej poezji. Obok strużkich wieczorów nasi gospodarze pokazali nam jeszcze inne dziedziny rodzimej działalności kulturalnej. Szczególnie interesujące były występy amatorskiego zespołu pieśni i tańca z pobliskiego Prilepu (Mirče Ačev) oraz spektakle Teatru Macedońskiego ze Skopje. Macedońskie seminarium było imprezą ze wszech miar owocną. Pozwoliło nam zapoznać się z najnowszymi osiągnięciami naukowymi macedońskich filologów oraz dokonać bezpośrednich konfrontacji naszych zdobyczy naukowych. Zetknięcie się z macedońską kulturą zbliżyło nam wiele istotnych problemów macedońskiej nauki, rzuciło właściwe światło na szereg zagadnień dotychczas niejasnych i niedookreślonych. Myślę, że wszyscy uczestnicy zjazdu przyjechali do swoich krajów z dużym bagażem nowych wiadomości i w poczuciu właściwie spędzonego czasu.



## PRZYJAŹŃ I WSPÓLPRACA

Województwo łódzkie już jedenasty rok współpracuje z Ziemią Smoleńską. Jedną z jej form są publikacje o ludziach i wydarzeniach kulturalnych na Ziemi Smoleńskiej.

Dzisiaj zamieszczamy notę biograficzną przewodniczącego Związku Pisarzy Radzieckich w Smoleńsku, Nikołaja Antonowa oraz fragment jego powieści pt. „Dnia przybywa”.

Anna budzi się mokra od potu. Wargi spieczone, w ustach gorzko i sucho. „Kwasku by chlebnego...” Anna zwleka się z posłania, natyka na ławę, po omacku znajduje czerpak, nabiera wody. Teraz, gdy we wsi gospodarzą Niemcy, kwasu nie znajdziesz w żadnej chacie. Kromkę chleba trudno ukryć. Gdzież tu do sucharów. Ledwie zamieszysz ciasto, a oni już są — wdech mają jak psy.

Annie straszno czegoś w opustoszałej chacie. Gdyby choć świerszczyka! Postępując, kładzie się z powrotem i naciera przetarty koc aż po brodę. Zimno. Pod oknem słychać jakby czyjeś kroki... „O, Boże, — szepcze, — Boże, zmiłuj się”.

Nie, to nie oni, to wiatr huczy w kominie. A jeśli jednak oni? Wczoraj w nocy zabrali Elżbietę. Chata pełna malutkich dzieci. Krzyk, płacz. Co im zawiniła Elżbieta? Czy przestąpiła Niemcom drogę, czy może spojrziała krzywo na starostę?

Śnieg znowu skrzypl. Nie, to furtka... Zimny pot pokrywa czoło Anny. A może to wiatr? „Chryście, co się to porobiło! Skrzypnięcia własnej furtki się boisz!”

Wiatr trochę ucichł, ale strach nadal czai się w ciemnościach.

W południe Anna poszła do starosty, prosiła, aby pozwolił oddać dzieci Afanasja krewniaczce w sąsiedniej wsi. Nawet nie chciał jej słuchać. Policjant Miszka Kolesow wypchnął ją, kopnął, aż upadła na śnieg. Co za upokorzenie! Gdyby nie te maleństwa, za nic w świecie nie poszłaby tak się ponizić.

Kiedy się już dobrze ściemniło, musiała pokryjomu zaprowadzić dzieci do drugiej wsi. A jeśli któryś z policjantów to widział? Może już był po nią, kiedy ona była tam? Jeśli wiedzą, to koniec, zabiorą ją i zamęczą.

Nagle odezwało się nieśmiałe cykanie świerszcza i umilkło. „Żyjesz jeszcze, kruszynko”, — ucieczyła się Anna. Cykanie przypominało jej dom, rodzinę... Cóż, to wszystko było kiedyś, a teraz? Córka ukrywa się w lesie, brat męża również, żonę mu Niemcy zamęczyli.

Głasza uprzedzała Annę: „Uciekaj stąd, mamó”. Może miała rację, strach żyć teraz we wsi. Nie wolno się nigdzie ruszać, nawet do sąsiadów zajrzeć. A ilu ludzi zabrali... Zonę Klimowa, cicha, skromna kobiecina, co w życiu nawet muchy nie skrzywdziła, wywlekli na mroź — zgroza brała patrzeć — i tak długo oblewali wodą, aż nie zamarzała na kość. Stała jak bryła kamienia koło Rady Gminnej. I za co?!... Anna wie, że powinna uciekać, ale co się wtedy stanie z domem, z całym gospodarstwem?

Pamięć znowu cofa ją o wiele lat wstecz. Razem ze świętej pamięci nieboszczykiem Jegorem po okruszynie, jak ptaszęta, po płórczku, gniazdo swoje wili. Po śmierci męża sama, samotnie, jedną parą rąk dom prowadziła, córki odchowala, wykształcenie im dała nie gorsze, niż inni mają. Dziewczynki ukończyły szkołę, wychodziły za mąż, a Głasza stała się dla matki główną podporą w życiu — razem pracowały w kolchozie, razem w domu. Jakże Anna ma teraz rzucić to wszystko, czego dorabiała się przez całe życie? Nie może zostawić domu na pastwę losu, nie wolno jej. Musi uchronić go dla Głaszy, dla córki...

Strach znowu podpełza do gardła. A jeśli ją zabiorą? Mogą zabrać... Za Głaszę, za Iwana lub tak po prostu, za nic.

Kroki? Ciężkie, łomotliwe. Furt-

ka skrzypl. To chyba znowu wiatr. A może?...

Dom trzeszczy pod ciosami w okna, w drzwi. Nie, to nie wiatr. Przyszli. Po nią.

## NIKOLAJ ANTONOW O SOBIE:

Urodziłem się w 1908 roku na Zakaukaziu w rodzinie urzędnika. W 1918 roku cała nasza rodzina osiedliła się w Rosji centralnej.

Dziennikarstwo pociągało mnie już w latach szkolnych, pamiętam, jak byłem dumny z funkcji redaktora szkolnej gazetki ścienniej. Wkrótce zacząłem drukować reportaże w gubernialnej gazecie komsomolskiej. To powołanie z lat młodzieńczych pogłębiło się i zdeterminowało całe moje życie. Pracowałem w redakcjach gazet w Pskowie, Wielkich Łukach, Smoleńsku.

W Smoleńsku, gdzie mieszkam do chwili obecnej, spędziłem ponad połowę mego życia. Kiedyś wydawało mi się, że będę uprawiał tylko dziennikarstwo, lecz przeżycia wojenne okazały się tak ogromne i ważne, że formy dziennikarskie już nie wystarczały. Pierwsza moja powieść „Dnia przybywa” ukazuje początkowy okres walk na Smoleńszczyźnie, powstawanie ruchu oporu, partyzantki. Następną moją książką „Pierwsza salwa” została dwukrotnie wydana w Warszawie po polsku.

Niedawno Wydawnictwo „Robotnik Moskiewski” skierowało do księgarń nowe wydania moich pierwszych powieści „Dnia przybywa” i „Pierwsza salwa”.

„Zabrali twoją matkę — użala się w myśli Anna — i co teraz z tobą będzie, dziecko? A może, Bóg da, matkę twoją wypuszczą? Nie płacz, nie zginięsz, znajdzie

— Tak! — woła Anna. — To ty, Pelagio?

— Od urodzenia byłem Pelagią, a kim zostanę teraz, za Niemca, nie mam pojęcia.

— Dla mnie to ty zawsze będziesz Pelagią. — Palce Anny powoli przebiegają włosy Wanuszki.

— Mówią, że Niemiec i imię, i nazwisko skasuje. Same tylko numery będą. Numer pięćdziesiąty ósmy — kiedyś Pelagia Koziewa. Chyba jutro dadzą nam numery. Domów naszych już nie będzie, to co z nas za ludzie.

Od jej żartobliwych słów wiało grozą, lecz Anna rozumiała, że Pelagia stara się dodać jej otuchy.

W kącie ktoś — mrok nie pozwalał rozpoznać kto — głośno lamentował i szlochał.

— Oho, jak ich rozebrało! Ej, wy tam, ciszej! — krzyknęła Pelagia donośnie. — Czego się tak drzeć? Nie widzicie, że fryce trzeszczą się o was? Domy nasze płoną, a jak tu zimą żyć bez chaty? Udzielili więc nam schronienia. Ciepło tu, aż za gorąco.

się dobry człowiek, co cię przygarnie”.

Wanuszka przytuliła się do Anny całym ciałem.

— Anna? — pyta niedaleko znajomy głos.

# DNIA PRZYBYWA

(Fragment powieści)

Anna zeskakuje z łóżka, narzuca na plecy kożuch, szuka walonek.

Drzwi do sieni pękają z hukiem. Łomot ciężkich butów... Wdziera się do izby. Chrapliwy krzyk, Brzęk rozbitych szyb. W izbie robi się jakby widnieć — niebo jest mleczno-różowe. Gdzieś za oknem terkoce karabin maszynowy.

Przerażenie paraliżuje Annę. Jedna noga w walonku, a drugiego nie zdążyła wzuć. Dwunogi ogromny potwór zbliża się do niej. Anna dostrzega tylko biel jego oczu i wyszczerzone zęby. Technie na nią smrodliwy zapach siwuchy. Żołdak chwytą Annę za włosy, zrywa z niej kożuch i ciągnie na dwór. Na podłogę spada szafka z naczyniami. Bosa noga Anny następuje na coś mokrego. To chyba woda z przewróconych wiader...

Ganek. Żołdak puszcza włosy Anny i kopniakiem zrzuca ją ze schodków. Anna pada twarzą w śnieg.

— Aufstehen! — wrzeszczy żołnierz i kopie ją w brzuch. Anna wstaje i skulona wlezie się do furtki. Mija innego Niemca, który biegnie z wiązką słomy. Oczy przekazują pamięci wydłużony, jak tykwa, owal jego głowy. W przedświtowej mgłce wyraźnie widać jego długą twarz i wąskie, chciwe wargi.

Terkot karabinów zbliża się. Ktoś jęknął, ktoś rozpaczliwie błaga:

— Ludzie, ratujcie!

Słychać grube niemieckie przekleństwa. Znowu krzyk, na ten raz — dziecięca.

„Jezu, Chryste Panie!”, — szepcze Anna bezgłośnie. Już zrozumiała. Pałą całą wieś. Tamten, z wiązką słomy, biegł do jej chaty. A ona, głupia, chciała uchronić ją dla Głaszy...

Spadająca na plecy kolba karabinu zapiera Annie oddech.

• ★ •

Anna poznała zagrodę Prochora. Drzwi domu były na oścież otwarte. Niemiec wpełznął ją do wnętrza. Tutaj byli już jacyś ludzie. Kto tu może być?... Tatjana ze swoim drobiazgiem zdążyła uciec. Och, gdyby i Anna posłuchała Głaszy... Po co została? Wielu tak zostało. Czyżby wszystkich mieli tu spędzić?

Powoli dom Prochora napelnia się. Mężczyzn prawie nie ma — poszli do partyzantki. Same kobiety i dzieci.

Obok Anny ktoś głośno płacze. Anna wyciąga rękę, namacuje główkę dziecka. Przytula ją do siebie. Poznaje. To Wanuszka, trzyletni synek Elżbiety.



Fot. Ch. Hackman

Anna dawno już czuła, że omdlewa z gorąca i duszności, choć stała w samej koszuli. Walonek, jaki zdążyła obuć na jedną nogę, zleciał, gdy upadła w śnieg, kożuch zabrał żołnierz. Ciasno zrobiło się w izbie, ze wszystkich stron na Annę napierali, lecz Niemcy wciąż jeszcze wpędzali nowych.

— Po co te ścierwy tyle ludzi tu pchają — krzyczy Pelagia. Już nie ma siły kpić z tego wszystkiego.

— Cicho cicho, Pelagio — uspokaja ją Anna. — Krzykiem rieszczęściu nie poradzisz. Dzieciakom trzeba pomóc — Anna bierze na ręce pół żywego Wanę.

Chłopczyk opadł już z sił od placzu, prosi pić. Jego wołanie rozjątrzyło pozostałe dzieci.

— Pić, pić, pi-l-ié! — rozlega się po całym domu.

Drzwi z hukiem zamknięto. Dąły się słyszeć głuche uderzenia.

— Zamykają nas, zamykają! — trwożnie krzyczą od drzwi.

Wyrzekania i płacz natychmiast cichną. Teraz wszyscy słyszą wyraźny stuk młotka.

Naraz stuk milknie. W ciszę wdziera się przesywający kobiecy głos:

— Mordercy! Co robicie?!

Dziesiątki rąk zalomotały w drzwi.

— Pożar! Pałą nas!

Anna wciąga głęboko powietrze, wyraźnie pachnie dymem.

— Pożar! Pałą nas! Ludzie, ratunku!

Anna czuje, że ścisk wzmaga się. Kobiety taranem napierają na drzwi. Rozlega się trzask wyłamanych desek i w tej samej chwili Annę ogłusza wybuch. Ma uczucie, jakby powietrze nad jej głową rozpadło się na dwoje. Tłum odstąpił od drzwi zostawiając na progu poskręcane, pokrzwione ciała. Ranni jęczą przerażliwie.

Teraz tłum atakuje okna. Okienne pękają od serii z karabinów maszynowych.

Po suficie pełzną już języki ognia. Gorący dym tamuje oddech. Annie dzwoni w uszach nieustający krzyk kobiet: „A-aa, u-u-u”. Słychać rżące: „Ratunku! Ratunku!”.

Kobieta stojąca obok Anny nagle milknie, kurczowo cisnąc do piersi dziecko. Anna widzi na jej twarzy lzy płynące spod zamkniętych powiek. Po chwili Annie wydaje się, że ta kobieta jest już martwa. Stoi zupełnie bez ruchu. Anna nie może patrzeć na te lzy płynące po martwej twarzy.

Wanuszka na rękach Anny dusi się od kaszlu. Ręce Anny dawno już zdrtwiały, ale nie ma gdzie posadzić lub chociażby postawić chłopca. Ma wrażenie, że płynie gdzieś w gryzącej mgłę. Nóg już dawno nie czuje, gdyby było dość miejsca, upadłaby na pewno, na stratanowie innym. Chciała krzyknąć, otwierała usta, lecz z gardła wydobywało się tylko rżące „a-a-a”.

Powietrze rozżarzyło się w czerwieni. Z gryzącym zapachem dymu zmieszał się zapach palonej odzieży, walonek i jeszcze jakiś mdłaco-słodki, dziwnie znajomy zapach. Tak pachnie przypalone mięso. „Skąd tu się wzięło mięso?” — pyta Anna resztką świadomości.

Wanuszkę przestał męczyć kaszel. „Usnął” — myśli Anna. Nagle uświadamia sobie przerażającą prawdę — „chłopiec się uduślił”. Ale nie potrafi już płakać. Wszystko staje się dalekie i obojętne. Za chwilę i ona umrze jak ta kobieta z dzieckiem... Powietrze... Lęk powietrza!... Nie! Ona nie chce umierać! Na złość temu gadawki, co ciągnął ją z izby za włosy, na złość temu z końską gębą, co podpalił jej dom, na złość tym wszystkim bandytom, co zamknęli ich tutaj. Powietrze!... Zdawało się jej, że krzyczy, choć nie mogła już rozewrzeć warg.

Nacisk tłumu osłabił ją. Anna osunęła się na podłogę. Chciała się podnieść, ale naległo na nią coś ciężkiego i ostatnim błyskiem świadomości Anna poczuła, że spada się w nieskończone głęboką, bezdenną przepaść.

Z rosyjskiego przełożyła

SABINA KOCZNOW-NOWICKA





SAMOLETEM  
PO EUROPIE

Sporą dawkę wrażeń w dosyć skondensowanej formie zaprezentował czytelnikom Jan Babiński\* w tomie swoich reportaży. Duża tam rozpiętość w czasie i przestrzeni, bo to i retrospekcje, i cztery kraje (NRD, Francja, ZSRR i Anglia), a i gama obrazów rozległa: karcery, więzienia, nocne kluby z wszelakiego rodzaju rozrywkami, rosyjskie zabijki sakralne, obóz koncentracyjny.

Bystrość obserwacji nie zawsze wsparta jest jakąś głębszą myślą przewodnią. A przecież autor widział sporo. Cztery państwa, zróżnicowane pod względem ustroju, tradycji i mentalności — to bardzo bogaty materiał. I tutaj ostro rysuje się niezbędność selekcji. W przeciwnym razie tak dobre reportaże, jak np. „Baskowie nad Sprewą”, gdzie Babiński ciekawie opowiada o Serbii, zginęłyby wśród innego materiału. W sumie, mimo wszystko, jest to zbiór zupełnie dobrych reportaży, z wyjątkiem o wycieczkach mankamentów, które są wynikiem nieprzemyslenia struktury całości, a co odbija się na jakości książki.

Krzysztof A. Kuczyński

\*) Jan Babiński, NOC W SOHO, Wyd. Łódzkie,

DOM POD ŻELAZNYM  
LWEM

„Miałem uczucie, jakby w mojej pamięci odkrył się powoli dawny, zapomniany na co dzień film. Tę książkę pisałem nie tylko dla Czytelników. Musiałem ją napisać przede wszystkim dla siebie samego”. Jest to fragment powieści, książki wspomnień, gdzie wszystko zostało poddane surowej analizie krytycznej, gdzie dzieciństwo i lata dojrzałe są oglądane oczami dorosłego mężczyzny.

„Dom pod żelaznym lwem” jest debiutem literackim i należy przyznać debiutem udanym. Specyfika i klimat przedwojennego Lwowa, szkoła, koleżdy, pierwsze porywy i pierwsze rozczarowania pierwsze samodzielne decyzje, niepo-

kój wywołany zbliżającą się wojną, a wreszcie okupacja wszystko to zostaje ujęte w zbeletryzowaną formę tego dobrze napisanego pamiętnika.

E. I.

\*) Witold Szalgin: DOM POD ŻELAZNYM LWEM. Instytut Wyd. PAX. 1971 r. Stron 296. Cena 28 zł.

WSPOMNIENIA  
O WYSPIAŃSKIM

Wydawnictwo Literackie w Krakowie zasłużyło się wydanem czterdziestu tomów „Pism zebranych” Stanisława Wyspiańskiego. Obecnie, jako uzupełnienie, ukazał się tom piątasty, zawierający wspomnienia o autorze „Wesela” ludzi mu współczesnych, którzy go znali lub byli z nim w zażyłej przyjaźni. Ten olbrzymi tom, dodajmy od razu: niezwykle cenny i ciekawy, zebrał, opracował i komentarzem opatrzył Leon Płoszewski. Wspomnienia o Wyspiańskim spisał: członkowie rodziny, koledzy szkolni, nauczyciele, przyjaciele młodości, krytycy i pisarze, artyści. Jest to kopalnia wiedzy zarówno o samym Wyspiańskim jak i o jego czasach, o epoce, w której żył znakomity pisarz i malarz. Jaki więc obraz Wyspiańskiego wyłania się z tych wspomnień?

Uczniem był przeciętnym, ale miał zdolności do języków obcych. Był niepraktyczny, powieści nie czytał żadnych prócz Sienkiewicza, lubił także literaturę starożytną. Do Szkoły Sztuk Pięknych zaczął chodzić wówczas, gdy dyrektorem był Jan Matejko, który też rychło poznał się na jego talentach i oddał mu doзор nad pracami innych studiujących artystów. Autorzy wspomnień jego pobyt w Paryżu, jego studia i życie osobiste, jego twórczość dramatyczną i malarską, jego zainteresowanie teatrem i Szekspirem, słowem piszą o wszystkim, co może oświetlić nam sylwetkę Stanisława Wyspiańskiego.

Książka ułożona została chronologicznie tak, że każdy łatwo i bez trudu odnajdzie to, co go zainteresuje. Świetnie opracowane są przypisy i komentarze. Całość wzbogaca spora ilość fotografii: są to przeważnie portrety ludzi wspomnianych, wykonane przez Wyspiańskiego. Wspaniała książka, wspaniała lektura!

J. K.

Wyspiański w oczach współczesnych, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1971, str. 634, cena zł. 65.—



KONRAD FREJDLICH

## PRZYCHODZIĆ Z WŁASNĄ LAMPĄ

„Na wieczór swego życia przyjdź z własną lampą”.

Zniewalające stwierdzenie Jouberta stało się tytułem i leitmotivem wydanej w tym roku książki Heleny Duninówny, książki zapewne ostatniej, bowiem jej autorka zmarła w połowie listopada. Śmierć przyszła nagle, bo ze śmiercią nie można się oswoić, chociaż pisarka od czterech lat przykuta była do łóżka ciężką chorobą. Nigdy nie chciała się pogodzić z tą sytuacją. Pracowała. Zostawiła obok łóżka manuskrypt liczący blisko sto stron zapisanych gęsto ołówkowym piśmem. Czym wytłumaczyć tę ogromną siłę woli schorowanej, osiemdziesięcioletniej kobiety? Najlepiej odpowie nam na to pytanie wyznaczenie pisarki, jakie złożyła w swojej ostatniej książce:

„Pamiętam ze swych bardzo młodych lat — rozczytywałam się wtedy w Emersonie — pewne jego zdanie: „Trzeba zawsze zaprzęgać swój pług do jakiejś gwiazdy”. Może ono sprawiło, że tak rzadko upadałam na duchu. Że moje codzienne, niełatwe, wymagające niejednego wyrzeczenia się życie — nie pozostawiło we mnie osadu goryczy, zniechęcenia, pesymizmu”.

Słabo znałam Helenę Duninównę. Powalona chorobą, znękana wiekiem i samotnością, nie uczestniczyła już od dawna w organi-

zacyjnym życiu Związku Literatów Polskich. Musiałem spojrzeć na fotografię, aby przypomnieć sobie rysy jej twarzy okolonej gęstwiną siwych włosów. Ale chociaż nie spotykałem się z pisarką osobiście, często spotykałem się z nią na kartach jej książek. Wydawała je w ostatnich latach z niecierpliwością młodzika, jakby uważała, że trzeba się pośpieszyć, żeby wypowiedzieć to ostatnie, najważniejsze.

Urodziła się w roku 1888 w Warszawie w rodzinie inteligentnej. Atmosfera domowa, atmosfera ówczesnych salonów na zawsze ukształtowały przyszłą pisarkę. Nieopodal pałacyku, w którym mieszkała, na ulicy Żabiej osiedlił się Bolesław Prus. Widywała wielkiego pisarza jako małą dziewczynkę, był przyjacielem jej ojca. Podróż. Rady prawnej koleżki Warszawsko-Wiedeńskiej przysługiwały bezpłatne bilety pierwszej klasy w Europie i Azji, Frankfurt, Zurich, Lucerna, Bazylea, Wenecja, Moskwa. Skrzętnie robione notatki w dzienniczku pensjonarki. Potem przyszły książki, ponad pięćdziesiąt książek dla dzieci i młodzieży. Ale nie uważała się jeszcze za pisarkę. To przyszło później, w Łodzi, do której zapędziła ją zawierucha ostatniej wojny. To stało się w roku 1956, który jest datą jej właściwego, bo świadomego debiutu prozatorskie-

go. Miała wtedy 68 lat, książka nosiła tytuł „Niespodzianki warszawskie”, wydał ją „Czytelnik”.

Pisarstwo Heleny Duninówny to wieczny powrót do miejsc i czasów młodości. Ulubiona forma wypowiedzi: gawęda. Przesycona refleksją, wspomnieniem. „Ci których znalazłam”. „Ludzie i rzeczy”, „Kobiety puchu marny”. „Odeszło życie”. „Warszawskie nowinki 1815—1900”. Wieczne odwoływanie się do swego doświadczenia, grzebanie w zakamarkach pamięci. „Kwiaty wśród dymów” — cykl gawęd poświęconych dawnej Łodzi. Ktoś, kto nie widział nigdy pokoju pisarki całego w kwiatkach, z którego można było wyjść na duży półokrągły balkon, gdzie także panoszyły się wszechobecne kwiaty, nie zrozumie tego tytułu nadanego jednej z najlepszych książek o minionej Łodzi. Zawarty w nim został jednocześnie własny stosunek do miasta, w którym znalazła schronienie. Tak, Łódź jawiła jej się w kwiatkach.

Na biurku — ołówki. Niezliczona ilość starannie zatemperowanych ołówków. Dawały pisarce poczucie bezpieczeństwa. To był właśnie ten chwyt pozwalający połączyć się z gwiazdą, o której mówił Emerson. Nieustannie pisała od momentu debiutu. Ma w swoim dorobku doskonały przekład z francuskiego „Dziennika” Marii Bazzkirew, który ukazał się nakładem „Czytelnika”.

10 książek w ciągu 15 lat samotniczej, uporczywej pracy, aż po tę książkę ostatnią o symbolicznym niemal tytule: „Na wieczór swego życia przyjdź z własną lampą”. Duninówna odchodzi w niej od swojej ulubionej formy: gawędy i wspomnienia. Ostatnia jej książka to autobiograficzna powieść, w której spożytkowane zostały najnowsze zdobycze warsztatowe współczesnej prozy. Dawna, przeurocza archaizacja stylu ustępuje miejsca wnikliwej, czasem nawet ośchłej analizie środowisk, w których wzrastała i żyła autorka. Obok liryzmu partie esejistyczne. To książka o zmierzchu, o starości, ściśle zaś o przewyżczeniu starości. Fragmenty lektur przepłatają się w niej z celnymi komentarzami. Starość jest w tej książce pogodna, bo czynna.

Pamiętam, że zwróciłem uwagę na tę książkę, gdy obszernej jej fragment zamieściła na swoich łamach „Osnowa”. Uderzyła mnie w tym fragmencie głębia przemyśleń Duninówny, pasja tropienia siebie samej, tej prawdziwej, odartej z wszelkich masek i upiększeń. A także kunsztowny rysunek tła, cienka, ledwie dostrzegalna kreska, a jednak wszystkie postacie żyją. Nie przypuszczałem, że to książka ostatnia.

Widzę teraz, a upoważnia mnie do tego przeczytana na nowo powieść „Na wieczór swego życia przyjdź z własną lampą”, słuszność stwierdzenia Sartre'a wypowiedzianego w „Słowach”:

„Skoro nieosiągalne Zbawienie odkładam do magazynu rekwizytów, cóż mi pozostaje? Człowiek całkowity, stworzony ze wszystkich ludzi, wart ich wszystkich — i którego wart jest pierwszy lepszy”. Trzeba to uzupełnić: człowiek z własną lampą.

## Przeszłość i teraźniejszość

W pierwszym, 1967 roku było ich zaledwie siedem, w dwóch następnych latach po dziesięć, w 1970 jedenaście. Tomik pióra L. Podhoreckiego „Hetman Jan Zamoyski 1542—1605” jest siódmym tytułem tegorocznym, na pewno nie ostatnim, skoro do końca roku jest jeszcze sporo czasu. Motwa oczywiste o masowej serii historycznej opatrzonej kryptonimem B.K.D., co oznacza „Bitwy — Kampanie — Dowódcy”, od pięciu lat ogłaszanej przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Serii naprawdę masowej, skoro jednorazowy nakład każdego tomiku wynosi obecnie 75 tysięcy egzemplarzy. Serii, która dzięki swojej tematyce oraz formie edytorskiej (realizowanej przez Wojskową Drukarnię w Łodzi), nie mówiąc już o ośmiozłotowej cenie, rzeczywiście dotarła do rąk najszerszego odbiorcy, w szczególności zaś do tego, o

którym przede wszystkim myślał wydawca, do młodzieży. B.K.D. powstała z uświadomienia społecznej potrzeby dostarczenia jej dostępnej literatury o naszych dziejach, takiej, która by zbliżyła problematykę historyczno-wojskową do tych, dla których II Wojna Światowa jest już historią, o której uczy się w szkole, czyta w prasie, ale której się samemu nie pamięta. Chodziło jednocześnie o to, aby popularna książka o istotnych pod względem społeczno-wychowawczym treściach, była dziełem trwałym, takim, którego po przeczytaniu nie wyrzuci się do kosza. Dlatego zaryzykowano (bo przy aktualnym stanie naszej poligrafii było to spore ryzyko) — jak się okazało, z dobrym skutkiem — publikowanie serii w sztywnej oprawie. B.K.D. „chwyciła”, ma dzisiaj swoich przysięgłych zwolenników i kolekcjonerów, o uro-

gach zaś (któż ich nie ma!) na jubileusz pięciolecia wstyd byłoby wspominać.

Jak ukształtował się profil tematyczny opublikowanych dotąd tomików? Na historię dawnej Rzeczypospolitej przypadło ich 15, na okres zaborów i walk o odzyskanie niepodległości 13,

dziesięć ostatniej wojny. Tendencja ta jest ze wszech względów uzasadniona i należy sądzić, że wyznacza ona będzie również tematykę przyszłych tomików. Tytuł „Bitwy — Kampanie — Dowódcy” oznacza, że poszczególne prace, zamieszczone w tej serii mają

padowego i Jarosławie Dąbrowskim! W odniesieniu do czasów późniejszych mamy jedynie... opisy działań. Stan ten jest nieprzypadkowy i na pewno nie zamierzony przez redakcję B.K.D. Odbija on ogólniejsze zjawisko, charakterystyczne dla naszej współczesnej historiografii. Jesteśmy bowiem wielce dziwnym krajem, który nie posiada właściwie niemal żadnej monografii o najważniejszych postaciach swoich najnowszych dziejów. Gdy ktoś podejmuje tego rodzaju temat, staje przed ogromnymi trudnościami, które sięgają zenitu wówczas, gdy zaczyna się myśleć o publikacji pracy. Wahania, obawy, przeróżne obiektywne i subiektywne lęki — nie tyle zresztą badaczy-autorów, co odpowiedzialnych osób i instytucji, mających decydujący wpływ na nasz ruch wydawniczy — pozbawiły naszą historię najnowszą bohaterów, odpersonifikowały ją do granic karykaturalnych. I ten właśnie stan znalazł swoje jasne odbicie również w serii B.K.D. Czy jej kierownictwu uda się przelamać

istniejące bariery i zahamowania, czego by sobie nie tylko ono bardzo życzyło?

Nie jest to ucale sprawa łatwa. Jak dotąd, czytelnika naszej historycznej literatury przekonujemy — sami nieprzekonani — że nie masz w naszej przeszłości XX-wiecznej takich postaci, o których warto byłoby skreślić książkę. Doszło do tego, że jest w naszym piśmiennictwie po kilka — własnych bądź tłumaczonych — poważnych biograficznych portretów przywódców... III Rzeszy, podczas gdy prawie nie ma podobnych książek o tych, którzy znajdowali się w tamtych czasach po innej, naszej stronie frontu. I dlatego życzę B.K.D. aby zgodnie ze swymi ambicjami i zamierzeniami zdołała w następnym, pewnie jeszcze bardziej owocnym pięcioleciu, przelamać ten impas choćby tylko na własnym podwórku. Byłaby to zapowiedź zmiany ku lepszemu, które pewnie nastąpi.

JOZEF GRZELAK

## Pięciolecie B. K. D.

wiek XX reprezentuje 16 tytułów, przy czym 13 jest poświęconych II Wojnie Światowej. O ile początkowo w B.K.D. przeważała tematyka dawniejsza, to obecnie na plan pierwszy wysuwa się historia najnowsza, ze zdecydowaną preferencją

omawiać bądź historię działań wojennych, bądź prezentować sylwetki wybitnych dowódców. Okazuje się jednak, że te ostatnie przeważają w odniesieniu do dziejów dawniejszych. Tomiki biograficzne kończą się na... dowódcach Powstania Listo-



IZABELA NAGÓRSKA

## Wokół dyskusji literatów

W artykule „Białe plamy” Konrada Frejdlicha w 47 numerze „Odgłosów” i w wypowiedzi Romana Loboda, zamieszczonej w dyskusji „Literaci o kulturze” z nr 46 znajdujemy dość dziwne stwierdzenie nt. spraw bibliotek i czytelnictwa.

Pan Frejdlich kwestionuje potrzebę otwarcia 12 bibliotek w Łodzi w nowej pięcioletniej, używając modnego, ale dość ciężkiego kalibru argumentu o rozpraszaniu sił i środków, które są do naszej dyspozycji. Te siły i środki przydałyby się wg autora „Sędzięgo” do uzupełnienia zbiorów bibliotek rejonowych już istniejących, gromadzonych najczęściej przypadkowo. Dziwiąc się faktowi nieposiadania przez każdą bibliotekę pełnego kompletu pozycji Wydawnictwa Łódzkiego trochę sugeruje, iż brak ten nie pozwala tym placówkom „w pełni realizować swoich funkcji kulturalno-oświatowych”. Zabrzmiało to regionalnie — dumnie, ale i zabawnie w świetle zadań stawianych współczesnej bibliotece publicznej, którym sieć łódzka potrafi podobać operując ogólnopolskim dorobkiem edytorialnym.

Oczywiście trudno jest mówić o idealnym modelu struktury księgozbioru w małej filii wielkomiejskiej, który by zaspokajał zainteresowania i faktyczne oraz potencjalne potrzeby młodego robotnika, emeryta, ucznia, obiecującego publicysty itd., itd. a także uwzględniał aktualne wytyczne polityki kulturalnej i ostatnie zdobycze naukowe i techniczne w ciągle zmieniającym się świecie. Trudzą się nad tym metodycy, badacze, pracownicy instytucji, Biblioteka gromadząca zbiory, posługując się opracowanymi wskaźnikami w zakresie licznych działów popularnonaukowych, wzmocnionych, aktualizowanymi zestawami literatury społeczno-politycznej, zabezpieczającą rozbudowę podręcznego księgozbioru o charakterze encyklopedycznym — informacyjnym oraz wieloegzemplarową kolekcję lektur obowiązkowych i uzupełniających. Ze zrozumiałych względów zabiega stale o odnowę podstawowego trzonu klasyki i arcydzieł literatury pięknej, polskiej i światowej, uzupełnia regionalną przeważnie w oparciu o zalecenia podawane na bieżąco przez nadrzędne placówki biblioteczne.

Dopływ nowości beletrystycz-

nych zależy jest od możliwości finansowych, poziomu środowiska, w którym działa biblioteka, niekiedy i od warunków lokalowych (np. przeladowanie na regałach, ogólna ciasnota). W nowościach tych pewien procent stanowią debiuty, owe „wartości wstępne i przyszłościowe”, owe drugie, trzecie i czwarte pozycje członków Polskiego Związku Literatów ciągle nie sprawdzające się w czytelnictwie, ale zakupywane „pod znakiem nadziei”.

Bibliotekarz kompletując księgozbiór biblioteki rejonowej nie jest zdany przeważnie na łup przypadku, jak sądzi p. Frejdlich. Pomagają mu biblioteki dzielnicowe, Miejska Biblioteka Publiczna, Narodowa, wreszcie przez odpowiednie pomoce, pomagają materiały księgarskie i inne źródła informacji o książce. Przypadek wkraczający w układy strukturalne księgozbiorów może być wynikiem znanych powszechnie niedomogów rynku księgarskiego, niedostatecznego okresowo zaopatrzenia księgarń łódzkich, koniecznością wycofywania książek przedwcześnie zniszczonych, zagubionych i nie oddanych przez czytelników i tych wreszcie, które mimo upływu lat i wszystkich zabiegów „upowszechniających” nie doczekały się jednak odbiorców.

Nie jest rzeczą przypadkową natomiast, iż zarządzeniem MBP z roku 1968 oprócz niej jako księżnicy centralnej tylko pięć bibliotek, (w tym 4 Dzielnicowe: Górnej, Bałut, Śródmieścia, Polesia, i 1 RBP w Dz. Widzew) gromadzi całościowo dorobek Wydawnictwa Łódzkiego. Brak jest obiektywnych przesłanek, aby czyniła to każda. Łódzkie biblioteki publiczne dla dorosłych są obowiązane już czwarty rok zakupywać wszystkie książki popularnonaukowe odnoszące się do Łodzi i województwa oraz wszystkie utwory pisarzy Łódzkiego Oddziału ZLP bez względu na to jakiego mają edytora. Placówki dzielnicowe czynią to w zakresie obowiązującej ich specyfiki zbiorów. Rzecz oczywista, iż na taki luksus nie mogą sobie pozwolić nawet największe biblioteki związkowe chociażby m. in. z powodu ograniczonych funduszy.

Potrzeba powstawania nowych bibliotek w Łodzi przy stałej rozbudowie miasta jest tak oczywista, że podejmowanie na ten te-

mat dyskusji wydaje się wprost żenujące. Minęły już czasy, gdy obowiązywał miernik — 1 biblioteka publiczna na 10 tys. mieszkańców a wszak mamy ich tylko 80 łącznie z biblioteką LDK, a bez prezencyjnie udostępniającej Biblioteki im. L. Waryńskiego, która przecież jest księżniczką naukową. Nadal niektóre rejonowe starej zabudowy, zwłaszcza w Śródmieściu, pozbawione są placówek bibliotecznych a wielkie nowe osiedla np. Teofilów, posiadają jedną bibliotekę w M-4. Trzeba jechać od ul. Cieszkowskiego aż do ulicy Rudzkiej, aby znaleźć drugą publiczną bibliotekę dla dorosłych. Czas jest pomyśleć o Kuraku, Rokiciu, dalszej partii Karolewa. Truizmem można nazwać konstatację, iż czytelnik posiadający telewizor w domu nie będzie jechał po książkę aż na obrzeża rozległej dzielnicy, a przeciętnego abonenta nie przyciągnie do czasopiśm skromny „kacik czytelnicy”, a tylko wygodnie umeblovana, jasna i estetyczna czytelnia.

Tylko w ferworze dyskusji mógł p. Loboda dojść do takiego uproszczenia, „że niewiele w bibliotekach (sądzić należy także publicznych) spotykało się książki pisarzy łódzkich, ponieważ „w upowszechnianiu kochano rzeczy nie wymagające wysiłku” i zarazem pouczyć pracowników kultury, że w upowszechnianiu tkwi element aktywności. Będąc zgodnym z prawdą, trzeba byłoby zbyt wiele przeczytać dokumentacji i publikacji, ażeby ocenić ileż to czasu i wysiłku bibliotekarze łódzkich bibliotek publicznych włożyli w upowszechnianie dorobku w zakresie regionalnej książki popularnonaukowej, wspomnieniowej i utworów literatów łódzkich bez względu, niestety, na problematyczną wartość niektórych pozycji. Nie licząc poradnictwa w tzw. pracy z czytelnikiem indywidualnym, zorganizowano setki, jeśli nie tysiące małych wystaw autorskich, dużych wystaw okolicznościowych (np. z okazji rocznic wyzwolenia Łodzi), specjalnych ekspozycji Wydawnictwa Łódzkiego, spotkań z pisarzami, dyskusji, konkursów i zgaduj zgaduli czytelnicych, tematycznych lekcji bibliotecznych. Do służby informacyjnej wprowadzono kartoteki regionalne z hasłami osobowymi pisarzy łódzkich. Celem pobudzenia inwencji bibliotekarzy, Biblioteka Publiczna przeprowadzała współzawodnictwa na najciekawszej opracowaną wystawę książki łódzkiej, na najoryginalniejszą imprezę biblioteczną p. h. Poznajmy nasze miasto — naszą dzielnicę. Owoce tego działania były większe lub mniejsze. Decydował przecież ostatecznie czytelnik, ten czytelnik, który zawsze chce książki jemu najpotrzebniejszej, często najlepszej z dobrych, który prosi o możliwość spotkania się z pisarzami nie tylko łódzkiemi.

Nasuwa się też pytanie na jakiej podstawie oparł się p. Loboda, mówiąc o regresie naszego czytelnictwa. Czy na tej, że miernik krajowy liczy czytelników i ilości wypożyczeń na 100 mieszkańców to 20,3, i 387,1 a łódzki 20,7 i 498,3, że od kilku już lat przodujemy w czytelnictwie książki niebeletrystycznej, faktograficznej i popularnonaukowej dochodząc do 30 proc. jej wykorzystania w stosunku do całości wypożyczeń, czy też na podstawie własnych obserwacji, że niektóre z utworów pisarzy łódzkich są słabo czytane?



Fot. M. Kowalski

## W Teatrze Stu Krzesel

O wiele częściej pisujemy o działalności artystycznej niż o tej uprawianej przez amatorów. Tym przyjemniej poświęcić tu nieco uwagi teatrowi niezawodowemu, zwłaszcza że chodzi o spektakl zasługujący na wyrazy uznania.

Teatr Stu Krzesel działa przy Międzyzakładowym Domu Kultury Włókniarzy w tzw. Pałacyku przy ulicy Piotrkowskiej 262. Członkami zespołu są ludzie pracujący, częściowo ucząca się młodzież. Rok temu rozpoczęli pracę nad sztuką zmarłego przed dziesięciu laty dramaturga belgijskiego Michela Ghelderode'a pt. „Szkoła błaznów”.

Próby pod kierownictwem Krystyny Hencz trwały wiele miesięcy i prowadzone były z wielką intensywnością, co od uczestników wymagało wielu wyrzeczeń i samozaparcia. Bo też i zadanie, jakie wzięli na swoje barki było niezmiernie trudne. Dramaturgia Ghelderode'a, głęboko filozoficzna, tkwiąca w mrocznych realiach późnego średniowiecza w wydaniu flamandzkim, stanowi wdzięczny, ale karkołomny materiał nawet dla teatru zawodowego, a cóż dopiero dla amatorów!

Zespół Teatru Stu Krzesel wyszedł z tej próby zwycięsko. Na przeglądzie teatrów dramatycznych odbytym w ramach Ogólnopolskiego Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych w październiku br. w Stalowej Woli na zespół łódzki spadł deszcz głównych nagród. I nagrodę za reżyserię i inscenizację „Szkoły błaznów” otrzymała Krystyna Hencz, za choreografię — Włodzisław Traczewski, za scenografię — Mariusz Kowalski, a za kreacje aktorskie — Zdzisław Szczepański (Galgit) i Włodzisław Maciudziński (Bifron). Oprócz tego również I na-

grode otrzymał cały zespół Teatru Stu Krzesel za wysoki poziom artystyczny i warsztatowy.

Ostatnio teatr przystąpił do prezentacji swego przedstawienia publiczności łódzkiej. „Szkoła błaznów” można oglądać dwa razy w tygodniu w Pałacyku. Na premierę prasową przybyli przedstawiciele ambasady belgijskiej w Polsce, którzy zaprosili zespół na występy w Belgii.

Pałacyk stwarza dla spektaklu szczególnie sprzyjającą ramę. Koncepcja inscenizacyjna jest bardzo widowiskowa, wykorzystująca hall Pałacyku i szerokie schody wiodące na I piętro. Na tej przestrzeni rozwijają się efektowne korowody błaznów rodem z malarstwa Boscha i obu Breughlów. Nie brak w przedstawieniu śladów innych inspiracji, jak np. słynnego pochodzącego z filmu Ingmara Bergmana „Siódma pieczęć”.

Starannie przygotowana strona widowiskowa nie przesłania filozoficznej warstwy dzieła Ghelderode'a. Gorzkie prawdy głoszone przez pisarza przekazuje aktorzy-amatorzy w wielkim skupieniu wewnętrznym. Należy dodać, że do tekstu „Szkoły błaznów” włączono partie z innych sztuk Ghelderode'a, jak: „Czerwona magia”, „Eskurial”, „Wędrowni mistrza Kościeja”, tworząc jakby syntezę myśli filozoficznej pisarza, ukoronowaną zamkniętym dramatem stwierdzeniem, że każda sztuka jest okrucieństwem.

Spektaklowi można by tu i ówdzie zarzucić niespójność stylistyczną, ale nie przesłoniło to faktu, że ambitny zespół stworzył dzieło niezmiernie interesujące i o dużej sile ekspresji scenicznej.

W. ORL.

PLK DR WALDEMAR BAŃKA

## MILITARIA

# WOJNA PSYCHOLOGICZNA W DZIAŁANIACH BOJOWYCH

Słowo wojna kojarzy się nam najczęściej z walką zbrojną prowadzoną na Dalekim czy Bliskim Wschodzie, kojarzy się ze śmiercią i zniszczeniami znanymi z autopsji lub opisanymi w podręcznikach historii. Wojna ma za-

wsze dla Polaka znaczenie ujemne.

Dziś termin wojna używany jest w szerszym znaczeniu i nadaje się mu charakter ambiwalentny. Używają go nie tylko autorzy wojskowych podręczników, ale także często, po dodaniu:

„psychologiczna”, stosują go politycy. W ten sposób wojnę psychologiczną pozbawia się zagrożenia, a sam termin w pewnych kręgach zyskał posmak sensacji. Przygotowania do prowadzenia wojny psychologicznej — jako czwartego wymiaru realizacji polityki krajów kapitalistycznych odnotowano w Stanach Zjednoczonych AP, dosłownie nazajutrz po drugiej wojnie światowej. W 1946 roku jeden ze znanych „specjalistów” w tej dziedzinie — Margolin — napisał: „W przyszłości rolę, którą w przygotowaniu ataku piechoty dotychczas odgrywała artyleria, będzie odgrywała propaganda dywersyjna. Jej zadaniem jest psychologiczne zniaczenie wroga jeszcze przedtem, nim zacznie działać armia”. Dość cętnie i bez żenady wśród „specjalistów” zachodnich mówi się, że operacje psychologiczne stały się jedną z najważniejszych broni stosowanych zarówno w czasie pokoju, jak i wojny. Zmieniły one oblicze pokoju powodując, że pokój o charakterze poli-

tycznym zatracił swój sens wytychnienia i spokoju i stał się po prostu okresem mniej gwałtownej wojny. Wojna psychologiczna przestała dziś być przedsięwzięciem wspierającym tylko operacje militarne. Nabrała sensu bardziej samoistnego. Rozwinęła się w szeroki doktrynalny kompleks politycznych, propagandowych pojęć, zasad i kierunków naturalnej ekspansji antykomunizmu. Były minister boński, Oberländer, tak sformułował cele wojny psychologicznej: „Jest to wojna bez widocznego początku. Wojny takiej nie wypowiada się, nie zaczyna się ona też wkroczeniem wojsk, zaczyna się ona prawie niewidocznie przy pomocy publicystyki, infiltracji, szpiegostwa, co więcej przynosi ona sukcesy, im bardziej jest niedostrzegalna, im mniej mobilizuje siły obronne”. Wojna psychologiczna oznacza na szeroka skalę, podejmowaną przy pomocy różnych środków i metod próbę podważenia i osłabienia socjalistycznego ustroju, aby w ten sposób przygotować grunt dla

innych form politycznej ekspansji, a w określonych warunkach — także dla zastosowania środków militarnych.

Szczególna rola przypada wojnie psychologicznej w czasie działań wojennych. Teoretycy NATO przyjmują, że przez działania psychologiczne wytworzą przede wszystkim wśród żołnierzy i ludności cywilnej obozu socjalizmu takie destrukcyjne stany psychiczne, które umożliwią pokonanie go w najkrótszym czasie. Stosowane w jej ramach działania mają doprowadzić do zdemoralizowania szeregow, załamania woli walki, ukształtowania przekonania, iż przedłużenie wojny jest złem gorszym, niż klęska. Specjaliści od wojny psychologicznej na Zachodzie ani na chwilę nie zapominają o tym, aby równolegle z prowadzonymi operacjami strategicznego oddziaływania i przygotowaniami militarnymi, jednocześnie przygotowywać aparat do prowadzenia wojny psychologicznej na wypadek konfliktu zbrojnego.



**K**iedy podczas konferencji prasowej, poprzedzającej premierę „Białowłosej” w Teatrze Wielkim, Henryk Czyż skarżył się na warszawskich recenzentów, którzy 9 lat temu bardzo nieżyczliwie przyjęli i ocenili jego „Białowłosa”, największy żal miał do nich o to, że nie ograniczyli się do jednego wystąpienia prasowego, lecz powracali do tematu kilkakrotnie. Wyglądało na to, że w Warszawie chcieli „Białowłosa” zmiażdżyć, że była to ukartowana akcja.

I oto proszę, historia się powtarza. Ja, która byłam zdziwiona — mówiąc delikatnie — postępowaniem warszawskich kolegów, dziś sama powracam do tego tematu. I teraz rozumiem warszawskich krytyków. Bo to sam Henryk Czyż swoją reakcją na recenzje jego utworu prowokuje dalsze wystąpienia. Tym razem sytuacja była nieco odmienna. „Białowłosa” skrytykowali łódzcy recenzenci, natomiast nieliczni warszawscy, którzy zechcieli przedstawienie obejrzeć, napisali o nim w tonie życzliwie-letnim. I oto owe rozbieżności w recenzjach tak zaintrygowały Koło Krytyków i Recenzentów Muzycznych przy łódzkim oddziale Stow. Polskich Artystów Muzyków, że zorganizowali nocną porą dyskusję poświęconą „Białowłosej” i łódzkiej krytyce muzycznej. Nie uczestniczyłam w dyskusji tak samo, jak moi koledzy po piórze, nb. żadne z nas nie jest członkiem sekcji krytyków przy SPAM. Ale różnice w recenzjach warszawskich i łódzkich mają moim zdaniem proste uzasadnienie. Warszawiacy widzieli pierwszą wersję „Białowłosej”, która była widocznie znacznie gorsza niż druga. Łodzianie nie mieli skali porównawczej na swoje nieszcześnie, czy też szczęście.

Nie chcę i nie będę wracała do „Białowłosej”, co miałam do napisania — napisałam. Że „Białowłosa” nie podobała się nie tylko mnie — świadczą listy, które napłynęły do redakcji, listy pełne oburzenia, że w ogóle wystawia się takie pozycje, listy podpisane przez przedstawicieli środowisk artystycznych i naukowych Łodzi. Nie opublikowaliśmy ich, by nie stwarzać atmosfery „nagonki” na „Białowłosa”. Być może uczyniliśmy niesłusznie, a to podejrzenie nasuwa dyskusja, która miała miejsce w SPAM. Jej fragmenty, po usunięciu co grubszych epitetów ad personas udostępnione zostały szerokim rzeszom łodzian poprzez antenę radiową. I to właśnie zmusza nas do zabrania głosu w tej sprawie.

Przed wszystkim zaskakująca jest reakcja Henryka Czyża na krytykę. Oto fragment jego wypowiedzi nagranej na taśmie:

„...Powiedziałem sobie tak: jest jakieś działanie zbiorowe. Jeśli jest, to jestem skłonny w działaniu zbiorowym upatrywać jakąś ideę (...). Mam wejść do Łodzi. Mam wejść, a tu na mnie kubał, no nie wiem jak powiedzieć, pomył. Co w tym może być? Na pewno po tym całym ataku prasowym pani Baduszkowa definitywnie straciła wszelką ochotę na przyjeździe do Łodzi i muszę powiedzieć, że w znacznym procencie ja tę ochotę straciłem (...). Bo rzeczywiście, jeśli planowana akcja, to nawet nieźle wykonana. Bo już ją mają absolutnie z głowy i mnie już tak prawie. Tylko teraz kto, no kto, czy co. Więc są to siły poźne, które mają w ręku prasę. No prasa to po tege, to się nie da ukryć. Z drugiej

strony można założyć: nie, nie ma żadnych, to są insynuacje, przecież nie ma znowy, ja nie chcę insynuować. Powiadam: jedna możliwość jest taka, a druga możliwość — ktoś nie lubi, że ja jeżdżę takim samochodem, załóżmy. A ktoś mnie w ogóle nie lubi, zakładając, że są to działania jednostkowe. To znowu jest przykre zjawisko, bo w Łodzi wobec tego, przy takim jednostkowym działaniu jednak prasy, krytykę muzyczną reprezentują osoby, które właśnie z pełnym niezrozumieniem idei utworu... Pytam co ten człowiek, co on rozumie? No to ja mó-

muzyczne mają pisać ludzie nie tylko ko studiach muzycznych, ale koniecznie czynni muzycy, to recenzje teatralne mają prawo pisać tylko aktorzy i reżyserzy, filmowe — reżyserzy, operatorzy, kierownicy produkcji (jeśli mają wyższe wykształcenie filmowe), a recenzje plastyczne... i tak dalej i dalej. Nie wiadomo tylko, bo to nie zostało powiedziane, czy ci recenzenci mają oceniać również własne role, przedstawienia, koncerty, wystawy, czy tylko swoich kolegów. Ale to zapewne do uzgod-

dyskusję w całości. Może by się coś konkretnego wyłoniło. A tymczasem, póki nie wiemy jeszcze kto powinien być recenzentem, zajmijmy się jeszcze jedną stroną dyskusji. Sporo czasu poświęcono stosunkom: środowisko muzyczne — prasa. Padły sformułowania, że prasa traktuje muzykę jak piątę koło u wozu, nie dopuszcza do swych łamów piszących muzyków itd. Doc. Wesołowski powiedział:

„To było oczywiście z sześć lat temu, proszę państwa, powiedziano,

dziennikarskiej od początku prawie zajmowałam się sprawami muzycznymi. Mniej więcej przed dziesięciu laty, gdy pracowałam w „Dzienniku Łódzkim” staraliśmy się znaleźć krytyka muzycznego, który pisałby m. in. recenzje z koncertów filharmonicznych. Szukaliśmy w środowisku muzycznym, przy pomocy środowiska muzycznego. Wreszcie znaleźliśmy. Był to praktykujący muzyk, wytypowany przez swoje środowisko. Niedługo pisał. To samo środowisko czy też pewni jego przedstawiciele, którzy go wytypowali, poprosili redakcję, by przestała drukować owe recenzje. A sama Filharmonia zdecydowała, że woli szersze zapowiedzi koncertów, niż ich omówienie post factum.

Bodajże dwa lata temu, w „Odgłosach”, szukaliśmy muzyka, który napisałby artystyczny artykuł omawiający artystyczną działalność Filharmonii. Szukaliśmy przeszło pół roku. Wreszcie artykuł taki musiał napisać dziennikarz. Nigdy w „Odgłosach” nie zamykałamy łamów przed muzykami, przeciwnie, zapraszaliśmy ich do współpracy, nie ograniczając do „dziesięciu linijek” i pobierania za nich honorariów. Rzadko zdarzają się propozycje autorskie, a i te nie zawsze są do przyjęcia — ze względu na merytorycznych.

Sprawami muzyki w Łodzi zajmuję się wiele lat, bliskie mi jest zarówno jej upowszechnienie, jak poziom artystyczny, jak losy łódzkiego środowiska muzycznego, łódzkich artystów-muzyków. I szczerze mi przykro, że dziś zmuszona zostałam do zabrania głosu w tym tonie. Zwłaszcza, że poglądy i atmosfera, jakie ujawniła dyskusja w SPAM panują w nielicznej grupie przedstawicieli tego środowiska, Środowiska utalentowanego, posiadającego znakomitych fachowców, wybitnych muzyków.

TERESA WOJCIECHOWSKA

# WIĘC KTO MOŻE BYĆ KRYTYKIEM MUZYCZNYM?

wię — nie nie rozumie. To znaczy, niestety, poziom dyskwalifikuje. W dodatku teraz, jeśli działa w kulturze, kto nie ma podstawowej osobistej kultury, bo się zachowuje na zasadzie, no chuliganstwa... Bo ja jestem taki nowy, nie wiadomo skąd przyjechał jakiś taki facet i tutaj się poplucuje. Ja tu przecież pracowałam przeszło cztery lata, prowadziłem Filharmonie. Miło mi, że miasto jakaś tam mi nagrodę dało”.

Tak więc, mówiąc po prostu, jeżeli recenzentem „Białowłosa” się nie podobała, to jest to znowa, kubał pomył, osobiste animozje, zazdrość z powodu samochodu, nieznamość autora, który przecież otrzymał od miasta „jakąś tam” nagrodę. Jeżeli zaś ktoś nie rozumiał idei „Białowłosej”, to znaczy, że do niej nie dorósł poziomem kulturalnym i w ogóle niczego nie rozumie. Skromność nie jest jednak podstawową cechą dyrektora Czyża. Na temat kultury tej wypowiedzi nie potrzeba dodawać komentarzy.

Spotkanie w SPAM poświęcone było również sprawie ogólniejszej: kto powinien być krytykiem muzycznym. Oto fragment zapisu taśmowego na ten temat:

Doc. Franciszek Wesołowski, prorektor PWSM w Łodzi:

„Ja nie spoکاłem dobrego krytyka, który by nie był świetnym fachowcem i nie posiadał tych czterdziestu lat i żeby nie był praktykujący muzyk. Nie taki, który piętnaście lat skończył konserwatorium i z muzyką nie ma właściwie nic do czynienia, tylko od czasu do czasu taśmę widzi. Dla mnie nie istnieje ani teoretyk, ani muzykolog, tylko istnieje muzyk. Jeśli ktoś jest tylko teoretykiem, albo tylko muzykologiem, a nie muzykiem, to właściwie co on robi w dziedzinie muzycznej? Proszę państwa, małe się wydaje, że ten właśnie rodzaj, niedokształcenie krytyków jest właśnie główną przyczyną nieporozumień. Na to żeby być krytykiem, to trzeba studiować, być muzykiem i naprawdę rozszerzać horyzonty”.

Ten wywód można oczywiście poprowadzić dalej. Jeśli recenzje

nienia w samym środowisku. Dziwić się tylko można, że doc. Wesołowski chce pracować w uczelni, która kształci teoretyków i muzykologów, którzy dla niego nie istnieją.

Jednakże nawet w gronie zebranych nie było pełnej jasności i zgodności kto ma być recenzentem muzycznym. Zdań było wiele, nie sposób je tu wszystkie zacytować. Ograniczę się tylko do jeszcze jednej wypowiedzi — Henryka Czyża:

„Oczywiście, idealnie by było, żeby to był muzyk, ale to nawet nie musi być muzyk, ale to musi być człowiek, który w dziedzinie kultury coś zrobił. Niesłychanie interesujące Broszkiewicz kiedyś... I myślę, kto konkretnie powinien pisać? No, ja nie wiem, może nawet lekarze, którzy mogą mieć niesłychaną kulturę muzyczną przez wiele lat osłuchani. Tylko to muszą być ludzie, którzy sobą coś przedstawiają, bo w każdym słowie pisanym przezebra ten człowiek, który za tym stoi. A jeżeli to jest straszny człowiek, no to ja powiadam chęć odsunąć tych strasznych ludzi od reprezentowania i urabiania opinii publicznej (...). Chyba nie można mówić o zawodzie krytyka, bo właśnie mamy paru zawodowych krytyków w Polsce i myślę, że więcej zła przynioszą w sumie sprawie samej muzycznej. Właśnie może to jest postaw „waldorfizmu”, to znaczy to popisywanie się. To się zaczyna od tego: „niech mnie pan minister pocałuje w nos”. Prawda, och, jaki śmiały, niezależny. Niewątpliwie musi to być zawód łączony z jakimś innym zasadniczym zawodem”.

Byłe nie z dziennikarstwem oczywiście. I tak mamy już drugą definicję krytyka: „nie straszny człowiek”. Choć jestem zakwalifikowana do tych co niczego nie rozumieją, to jednak rozumiem, że „człowiek nie straszny” zawsze chwali, wszystko mu się podoba, nawet ministrowi nie każe calować się w nos.

Koncepcji krytyka było w tej dyskusji wiele, sądzę, że „Ruch Muzyczny” jako pismo specjalistyczne mógłby przedrukować tę

nie ma mowy, żeby jakąkolwiek krytykę zamieścić. — Tak długich krytyk być nie może. — No, ale panie redaktorze, jak są krytyki, to musi być i uzasadnienie, więc nie można napisać w dziesięciu linijkach. — Ale, niestety, my nie możemy takich umieszczać, mamy bardzo zmniejszone nakłady, muszą nas zarobić. Możecie pisać za darmo, a oni się za was podpiszą”.

Byłoby dobrze, gdyby doc. Wesołowski przypomniał sobie — jeśli to już publicznie powiedział — kto mu takie propozycje robił. W mojej wieloletniej praktyce



Fot. W. Parys

Spośród głównych państw NATO najbardziej rozbudowany aparat militarny wojny psychologicznej posiadają USA i NRF. Te dwa państwa nadają kierunek rozwoju pozostałym członkom Paktu Północno-Atlantyckiego. Po wielu eksperymentach organizacyjnych i przy dużych nakładach finansowych Stany Zjednoczone AP w latach 1953—1961 znacznie rozbudowały siły wojny psychologicznej. Stosownie do roli, jaką wyznacza się działaniom psychologicznym w przyszłej wojnie, utworzono w USA połączony aparat obejmujący siły i środki przeznaczony do działań w Europie, Azji, w Ameryce Południowej i Afryce. Struktura wojskowych organów wojny psychologicznej USA składa się z dwóch pionów: pierwszy stanowi ośrodek koncepcyjno-szkoleniowy w Fortie Bragg (Północna Karolina), drugi pion to duże oddziały wojny psychologicznej, przeznaczone do wykonywania określonych akcji psychologicznych.

W ośrodku w Fortie Bragg szko-

leni są specjaliści do prowadzenia taktycznej wojny psychologicznej oraz akcji przeciwpartyzanckich i przeciwpowstańczych ze wszystkich armii NATO. Przechodzą tu przeszkolenie również oficerowie z Izraela, armii sajskońskiej, filipińskiej, tajwańskiej i innych. W ogóle ośrodek ten prowadzi szkolenie specjalistów dla przeszło 50 armii świata. Tam zdobyli edukację w zakresie działań psychologicznych pierwsi oficerowie Bundeswehry, którzy dziś zajmują najwyższe stanowiska w sztabie dywersji psychologicznej armii bnińskiej.

Pion drugi — oddziały wojny psychologicznej przeznaczone do prowadzenia akcji propagandowych w działaniach wojennych podporządkowane są dowództwu sił lądowych USA. W początku bieżącego roku siły te składały się z sześciu batalionów. Miejscem dyslokacji 2 i 10 batalionu jest Fort Bragg. Dwa z batalionów, to jest 1 i 13, stacjonują w Wietnamie, jeden — w Ameryce Łacińskiej, w Panamie i jeden

na terytorium Europy — w NRF — w miejscowości Bad Tölz. Każdy z batalionów liczy około tysiąca ludzi. Szczególną rolę wyznaczono 5 batalionowi wojny psychologicznej z Bad Tölz, który jest przygotowywany przede wszystkim do działań przeciwko Armii Radzieckiej, Wojsku Polskiemu i Armii Czechosłowackiej. Zgodnie z przyjętą koncepcją dowództwa sił lądowych armii USA, w skład każdej armii polowej będzie wchodził organiczny batalion wojny psychologicznej.

Dowództwo Bundeswehry szczególnie rolę przypisuje taktycznej wojnie psychologicznej, traktując ją jako wykonanie zadania militarnego. Odpowiednio do przyjętej koncepcji powołano w jej ramach: kierownicze organa wojny psychologicznej, komórki badawcze i szkoleniowe oraz pododdziały wojny psychologicznej. Na szczeblu Bundeswehry kierowniczymi działaniami psychologicznymi znajduje się w gestii Wydziału VII — propagandy militarnej Sztabu, któremu podporządkowa-

ny jest ośrodek szkoleniowy w Euskirchen oraz pododdziały wojny psychologicznej działające przy sztabach NATO oraz 701 samodzielny batalion radiowy, będący w dyspozycji sztabu dowództwa. W korpusach armijnych znajdują się kompanie, a w dywizjach plutony wojny psychologicznej. Ponadto w NRF powołano do prowadzenia działań propagandowych o charakterze konsolidacyjnym wśród własnej ludności cywilnej: po jednej kompanii psychologicznej w każdym okręgu wojskowym i po jednym plutonie przy każdym powiatowym sztabie obrony, jak również w sztabach rejonów obrony wybrzeża. Razem siły do prowadzenia wojny psychologicznej w Bundeswehrze liczą ponad 2500 ludzi.

Wyposażenie oddziałów wojny psychologicznej Stanów Zjednoczonych AP i NRF w sprzęt techniczny jest podobne, a pochodzi głównie z amerykańskiej produkcji. Najczęściej spotykany sprzęt to: polowe rozgłośnie radiowe, ruchome drukarnie offsetowe,

rozgłośnie elektroakustyczne na samochodach i pojazdach opancerzonych, różnorodne nosiciele materiałów propagandowych. Możliwości techniczne pozwalają na prowadzenie działań psychologicznych przeciwko wojskom walczącym na froncie, jak również przeciwko ludności cywilnej na dalekim zapleczu. Według zachodnio-europejskich koncepcji, działania psychologiczne będą ściśle powiązane w współdziałaniu z grupami dywersyjno-sabotażowymi.

Z powyższego przeglądu wynika niezbicie, że mamy do czynienia ze szczególnie przebiegłym, niebezpiecznym i zdecydowanym na wszystko przeciwnikiem. Organizacyjnie i militarnie jest on przygotowany do prowadzenia różnorodnej działalności, której treścią, w każdych warunkach, będzie antykomunizm. Wzmaganie propagandy antysocjalistycznej i sięganie do dywersji ideologicznej nakłada na nas obowiązek stałej czujności i śledzenia zmian i tendencji, jakie w tej dziedzinie zachodzą.



MICHAŁ STRZELECKI

## Zawód – sportowiec?

Od momentu powstania swoistej „karty praw i obowiązków” sportowca — amatora (a działo się to na długo przed doświadczeniem do władzy w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim p. Avery Brundage), „karta” ta była przez sportowców i działaczy systematycznie łamana. Bo przestrzeganie ścisłych rygorów przepisu o amatorstwie nie pozwalało zawodnikom podnosić systematycznie kwalifikacji sportowych, skutecznie rywalizować na arenie międzynarodowej. I tak jest do dziś, chociaż w ostatnich latach jesteśmy świadkami potężnej, jak na stosunki panujące w MKOl, ewolucji w zakresie przepisów o amatorstwie sportowym.

Czy amatorem, w myśl aktualnych przepisów MKOl, może być dla przykładu Australijczyk Clarke, który bez mała co roku robi kilkumiesięczne tournée po Europie i USA? Za co w tym czasie żyje, on i jego rodzina (ma żonę i dzieci). A Clarke nie jest synem milionera, tylko skromnym urzędnikiem. Ktoś musi pokrywać wydatki na jego podróże, dostatanie utrzymanie rodziny. Czyna to z pewnością organizatorzy imprez, w których uczestniczy ten zawodnik, czyni to również w jakimś stopniu właściciel przedsiębiorstwa, u którego Clarke pracuje. Ze względów propagandowych oplaci się kapitałiście inwestować w sportowca. Nie jest to przykład na Zachodzie odosobniony. Mecenasi sportowi są wszędzie. U nas rolę tę spełnia państwo.

Czym się różni sportowiec-zawodowiec od sportowca-amatora? Dla odpowiedzi na to pytanie posłużyć się dość charakterystycznym przykładem z rozmowy jednego z łódzkich dziennikarzy z młodzieżowymi piłkarzami NRF przed spotkaniem z Polską. Na pytanie: „Czym jest pan z zawodu?” — dziennikarz usłyszał: „Jestem piłkarzem”.

— Chodzi mi o to — tłumaczył dalej dziennikarz — czym panowie zajmują się poza piłką.

— Chodzimy od czasu do czasu do kina, teatru, podróżujemy — brzmiała dowiecipna odpowiedź.

Dla tych młodych ludzi piłka nożna jest zawodem. Dlatego nawet uważali, że pytanie polskiego dziennikarza zakrawa na kpiny. Zresztą w trakcie rozmowy nie omisskali dodać: „U was jest przecież podobnie”.

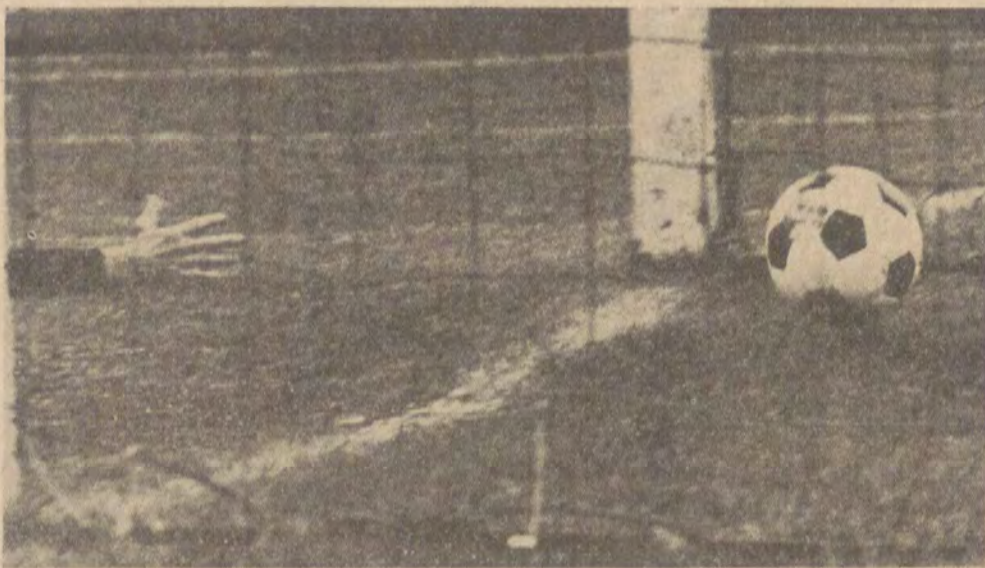
Podobnie, ale niezupełnie tak, jak ów młody obywatel NRF sobie wyobraża. Doszliśmy wreszcie do tego, zrozumieli to sami piłkarze i działacze, że u nas piłkarz musi mieć ukończoną jakąś specjalność zawodową, względnie uczyć się. W ten sposób państwo stara mu się zabezpieczyć egzystencję po zakończeniu kariery piłkarskiej. Inaczej na Zachodzie, gdzie dobry piłkarz zbiera przez kilka lat grube pieniądze, za które na „stare lata” staje się współdziałalcom fabryki, czy właścicielem sklepu. Dotyczy to jednak tylko bardzo zdolnych piłkarzy. Pozostali nie mają tak słodkiego życia. Wielu z tych, którzy poświęcili się karierze piłkarskiej, a którzy nie osiągnęli szczytu sławy — klepie obecnie biedę. Tam rządzą w sporcie zawodowym prawo popytu i podaży. Jeżeli akcje sportowca (jego poziom) nie idą w gó-

re, to nie może liczyć na żadną wyrozumiałość, litość ze strony swych bossów. Zostaje, po prostu, wyrzucony poza burzę sportu zawodowego, staje się niczym.

I u nas w kraju podnoszą się coraz częściej głosy domagające się wprowadzenia oficjalnego zawodowstwa w piłce nożnej. Niektórzy w takim rozwiązaniu upatrują wzrost poziomu tej dziedziny sportu, inni — mają na uwadze oczyszczenie atmosfery z punktu widzenia moralno-ekonomicznego. Osobiście reprezentuję pogląd, że wprowadzenie zawodowstwa w polskiej piłce nożnej nie przyczyni się bynajmniej do jej postępu. Przyczyny słabości tkwią gdzie indziej: w błędach organizacyjnych i szkoleniowych szczególnie z młodzieżą. Zresztą — czy sport może być rzeczywiście zawodem? Ile lat można być wziętym piłkarzem? 10—15 najwyżej. Jest to, statystycznie rzecz ujmując, co najmniej jedna trzecia wieku produkcyjnego człowieka. Przecież nie będziemy tworzyć emerytów piłkarskich w wieku lat 30? Raczej dbajmy o to, aby im zapewnić przy okazji pełne przystosowanie społeczne. Jest to bardziej zgodne z treścią moralności socjalistycznej. Jestem również przeciwny

utrzymywaniu fikcji. Chodzi mi tutaj o fikcyjne etaty zajmowane w zakładach pracy przez sportowców. Ale jak to rozwiązać? Kluby nie wytrzymają finansowo, aby zapewnić swym piłkarzom pensje po 3.000 zł. Opiekuńcze zakłady pracy powinny więc w tej sytuacji partycypować w utrzymaniu sportowców. Tylko po co trzymać ich na fikcyjnych etatach majstrów, kierowników, konstruktorów itp., itd? Może byłoby lepiej, gdyby opiekuńcze zakłady pracy miały oficjalnie wydzielone etaty piłkarskie (mówiąc ściślej sportowe, bo to dotyczy nie tylko piłki nożnej?). Wówczas łatwiej byłoby zróżnicować płace piłkarzy. Bo do dziś nie ma wśród zawodników bodźca materialnego zainteresowania. Każdy z tzw. kadrowców I- i II-ligowych tej samej drużyny otrzymuje takie samo wynagrodzenie. A przecież ich wartość sportowa jest różna, powinni więc być również zróżnicowane płace. Rozwiązać także należy różny poziom płac piłkarzy w różnych gałęziach przemysłu. Dlaczego piłkarze o tym samym poziomie, grający w branży górniczej, czy metalowej, mają być wyżej wynagradzani, niż piłkarze należący do braci włókienniczej?

Czy tak pomyślane rozwiązanie można nazwać zawodowstwem? Z pewnością nie da się ono pogodzić z aktualnymi przepisami o amatorstwie. Ale dziś nigdzie na świecie w wielkim wyścigu sportowym nie ma czystej krwi amatorów. I nadejście zapewne czas, kiedy przepisy o amatorstwie ulegną dalszej modyfikacji, zostaną bardziej przystosowane do współczesnych wymogów sportu wyczynowego, który stał się w naszych czasach wielkim widowiskiem, oglądanym przez miliony ludzi. A ludzie pragną dobrych widowisk sportowych.



TP OBIEKTYW

CHERCHEZ LA FEMME!

Wkraczanie na teren historii poprzez kobiety i związany z nią wątek romansowy to metoda stara i sprawdzona. Na ten wydeptany i pełen atrakcyjnych niespodzianek gościnnie wkroczyła Naczelna Redakcja Programów Popularno-naukowych TVP cyklem o dwupiętrowej nazwie: „Inna twarz pomnika” oraz „Kobiety ich życia”.

Metoda „cherchez la femme” ma swoje uroki, ale ma i słabe strony. Wprawdzie Pascal twierdził, że gdyby nos Kleopatry był trochę krótszy, losy świata mogłyby potoczyć się inaczej, wiadomo jednak, jak jednostronny jest taki pogląd na mechanizm dziejowy. Skupienie się wyłącznie na życiu sentymentalnym i erotycznym wielkich ludzi prowadzić może do swoistej dewiacji, do zagubienia właściwej miary i oceny.

Autorką programu „Jego Marie” ze wspomnianego wyżej cyklu jest Barbara Wachowicz (reżyseria — Lech Wojciechowski, scenografia — Marłusz Chwedeżuk, reżyseria TV — Alicja Siężńska; Telewizja Warszawa, 21. XI. 1971 r.). Zaś bohaterem perypetii miłosnych — Henryk Sienkiewicz. Wielki pisarz, wielki patriota i — jak się okazuje — wielki uwodziciel. No, może słowo „uwodziciel” nie jest tu najlepszym w każdym razie: wiemy stuga Amora.

Marłi w jego życiu było aż pięć, z czego trzy dostąpiły nielada zaszczytu związania się węzłem małżeńskim z autorem „Trylogii”. Z dwóch pozostałych — jedna zerwała z pisarzem pod naciskiem rodzicielskim i odeszła ze złamanym sercem, a druga zakończyła życie samobójczo, kto wie, czy nie z powodu obojętności starzejącego się już pisarza.

Słowo wiążące, napisane ładną, nieco archaizowaną polszczyzną, wypowiadała autorka programu, fragmenty listów Sienkiewicza przekazywał Stanisław Zaczek, zaś w rolę pięciu Marłi wcieliły się: Mirosława Krajewska (Kellerówna), Magdalena Zawadzka (Szetkiewiczówna), Alicja Bobrowska (Włodkiewiczówna), Ewa Krzyżewska (Radziejewska) i Aleksandra Karzyńska (Babska). Inscenizacja była dyskretna, zdaniami aktorów było raczej referowanie niż utożsamianie się z postaciami.

Informacje o Sienkiewiczu jako o kochanku i przedmiocie westchnień wielu kobiet były z pewnością ciekawe i rzuciły dla wielu z nas nowe światło na postać ulubionego powszechnie pisarza. Po zastanowieniu jednak trudno nie sformułować pod adresem Barbary Wachowicz (której inwencję i błyskotliwość cenimy) paru zarzutów.

W swoim „cherchez la femme” autorka wygubiła ciekawsze rysy intelektualne Sienkiewicza. Dobór listów, a raczej ich fragmentów, wypracowany z bogatego życia duchowego pisarza niemal wyłącznie sprawy miłosne. Pozostawione jak na okrasę wzmianki o pracy nad powieścią „Na marne”, „Humoreskami z tęgą Worsylią”, czy „Potopem” marnowały tylko, fakt, że Sienkiewicz nie tylko przecież kochał się w swoim pracowitym życiu.

Dopiero pod koniec opowieści zmontowanej przez B. Wachowicz (prawdopodobnie dlatego, że wygasły z wiekiem erotyczne pasje pisarza) sylwetka Sienkiewicza staje się pełniejsza. Zartobliwy i lekko kpiący opis uroczystości wręczenia nagrody Nobla kryje w sobie i skromność pisarza, i godność, i poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Podobnie akcent końcowy programu położony jest (słusznie!) na patriotyczną postawę Sienkiewicza podczas I wojny światowej.

I jeszcze jeden zarzut. Pięć Marłi w życiu Sienkiewicza to pociągający schemat, w imię którego autorka scenariusza pomija inne miłości pisarza, choćby tę do naszej wielkiej aktorki Modrzejewskiej. Tak, ale Modrzejewska miała na imię Helena!

Z wykonawców programu najciekawszy był: S. Zaczek, który raz jeszcze błysnął wielką kulturą, M. Zawadzka i epatująca egzotyczną niemal urodą Ewa Krzyżewska.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Reżyserowi filmu „Cromwell” Kenowi Hughesowi udało się rzecz rzadka. Realizując wielkie filmowe widowisko, z takimi jego cechami, jak rozmach inscenizacji, bogactwo dekoracji i historycznego kostiumu, mnogość statystów, zwłaszcza w scenach batalistycznych, udział znakomitych gwiazd i zapis na 70-milimetrowej taśmie, potrafił stworzyć film poważny, w którym widowiskowość jest służebna wobec tematu. Zastrzec trzeba się natychmiast, iż historycy mogliby wytknąć autorom filmu zarówno pewne nieścisłości faktograficzne, jak i dopatrzyć się uproszczeń, tak w epickiej relacji historycznych wydarzeń, jak w samym rysunku postaci tytułowego bohatera filmu. Nawet nie historyka musi z lekką zrytować fakt, iż filmowa biografia Cromwella kończy moment objęcia przez niego funkcji lorda-protektora, nie wszystko bowiem w jego późniejszym życiu składałoby się na tak pozytywny portret bohatera, jak znajdujemy w filmie. Jako wódz i polityk stał Cromwell na czele sił, które ukształtowały oblicze angielskiej rewolucji burżuazyjnej XVII w.

obalającej monarchię i wprowadzającej szereg zmian ustrojowych. Po ścieżce króla Karola I, nieudanych rządach parlamentarnych, Cromwell jako lord-protektor uczynił z Anglii potęgę ekonomiczną i morską ówczesnego świata, przyłączył do Anglii Irlandię i Szkocję, popełnił jednak błędy, które mając swe tło religijne doprowadziły do rzezi ludności irlandzkiej. Ten ciąg historii Anglii po dziś dzień nie ma, jak wiadomo, swego zakończenia.

Powyższe uwagi mimo wszystko nie deprecjonują filmu Hughesa, jeśli oczywiście traktować będziemy jedynie jako film popularyzujący pewien rozdział historii i postać głównego jego bohatera. Przy wszystkich uproszczeniach „Cromwell” reprezentuje bowiem szlachetniejszą odmianę gatunku filmowego, który tak często zesłizguje się z pozycji filmu historycznego na ledwie kostiumowy.

Jak w większości tego typu filmowych epikach liczy się w „Cromwellu” nie wnikliwa analiza historycznych postaci, lecz prezentacja ich przebiegów. Zaletą filmu jest jednak to, iż twórcy zrezygnowali zupełnie z tak

chętnie na ogół wprowadzanych do akcji wątków romansowych i obfitości, może atrakcyjnych, lecz mało znaczących scen batalistycznych. Interesowała ich historia, a z niej wybrali to, co uczyniło siłą motoryczną akcji swego filmu — konflikt między dwiema indywidualnościami epoki — królem Karolem I i Stuartem a Oliverem Cromwellem, konfliktowi zaś przydał postać daleko idącą, choć niepełną, rzetelnością relacji historycznej — doskonały koloryt i atmosferę tejże epoki.

Widać w „Cromwellu” ogromny wysiłek realizatorów, by zerwać z tradycją nalanych opowieści z dawnych lat. Jak jednak jest to trudne niech świadczy fakt, że np. geniusz wojskowy Cromwella prezentują efekty jego poczynań, nie zaś samo działanie sprawozdane w filmie do muzyki i dowodzenia jedną bitwą. Jest to jednak typowe dla większości pisanych, a zwłaszcza filmowanych biografii. Jeśli Cromwell ekranowy przykuwa naszą uwagę, to nie tylko z powodu wyczuwalnej niemal czujności reżysera filmu dla tej postaci, ale również dzięki świetnej roli Richarda Harris. Czy jest on

Cromwellem prawdziwym trudno rozstrząsać, podejrzewać można, iż zbytnio udemonizował reżyser te postaci. Aktor ze swych zadań wywiązał się jednak wspaniale, Harris jeszcze raz potwierdził swój wielki talent (zwrócić choćby uwagę na zupełnie niezwykle operowanie głosem). Jego partnerem, a historycznym przeciwnikiem, jest Alec Guinness w roli Karola. Chwalić Guinnessa to prawie nietakt, sądzić, że w filmie tym osiągnął szczyty aktorskich możliwości interpretacyjnych, jednak chyba można. Guinness wyważył w tej roli wszystko co można wiedzieć o szlachetności i nikczemności, o wielkości i małości człowieka, gra słowem, gestem, każdym spojrzeniem, jest znakomity. I choćby tylko dla tych dwu wielkich aktorskich kreacji warto „Cromwella” zobaczyć.

★ ★

Myślało się nie tak dawno jeszcze, że twórcy serii filmowej, której tytułowym bohaterem był szlachetny, mądry i dzielny Winnetou, osiągnęli dol-

na granicę prymitywnej realizacji westernowego tematu. Co zatem zrobić z francusko-rumuńskim „Tropicielom śladów”? J. T. Cooper, a na motywach jego powieści zrealizowano ten film, zezarał się bardzo jako jeden z pierwszych, którzy pisali o Dalekim Zachodzie. Jednakże filmowcy twórczość jego pogrzebali ostatecznie.

To co prezentuje się wprawdzie pod etykietą przygodowego filmu dla młodzieży, jest jednak tak straszliwą bzdurą, że nawet młodsze dzieci (a co dopiero młodzież), co mogłam empirycznie sprawdzić, w lot ją rozsztyrowują. Cała opowieść kupi się nie trzymając, wszystkie przygody bohatera śmieszają natwornością i nieprawdopodobieństwem, obraz Indian taki, jakim przedstawiano go u początków naszego wieku, akcja opowiedziana ciężko i nieudolnie, brak nawet w filmie naprawdę sympatycznego głównego bohatera. Rzecz się chce — rany boskie, toż „Winnetou” to świetny film. Biedne te nasze dzieci.

EWA NURCZYŃSKA



# Kto, co, kiedy?

relacje  
niedyskrecje

## „KUPA RDZY NAD JEZIOREM”

— Tak określają mieszkańcy Zurychu gmach zwany „Ferro”, wzniesiony ostatnio nad Jeziorem Zurychskim. Budowlę, zawierającą zarówno pomieszczenia biurowe jak i mieszkalnia, zaprojektował szwajcarski architekt, Justus Dahinden. Dom ten ma kształt piramidy, a z zewnątrz wygląda jakby był pokryty „plaszczem” rdzy. Okna zaś wykonane są również w kolorze rdzy, ze szkła z domieszką miedzi.

Przed czterema laty Dahinden otrzymał zamówienie od handlowej firmy „Ferrolegiering AG” na zaprojektowanie sześciopiętrowego, reprezentacyjnego budynku w willowej dzielnicy Zurychu. Zleceniodawcy życzyli sobie, aby gmach był pełen światła, powietrza i słońca. Architekt uznał, że w tym celu najlepiej nadać budynkowi kształt piramidy i to tak wysokiej, jakiej od czasów piramid egipskich i indyjskich nikt jeszcze nie wznosił. Warto przy tym dodać, że jak zauważa Dahinden, „piramida nigdy nie wygląda na tak wysoką, jaką jest w istocie, o czym wiedzieli już starożytni Egipcjanie, Majowie i Inkowie”.

Ale nie tylko forma tego szwajcarskiego budynku budzi zdziwienie. Ściany zewnętrzne domu pokryte są płytami ze specjalnego rodzaju stali, która wprawdzie szybko rdzewieje, ale równocześnie

ową cienką warstwą rdzy stanowi znakomitą ochronę przed dalszą korozją. Okna w tym gmachu są nachylo- ne, a ponieważ każde następne wyższe piętro ze wszystkich czterech stron cofnięte jest o kilka metrów, duże ilości światła mogą przenikać do głębi pomieszczeń. Szkło zaś z domieszką miedzi odbija 75 proc. ciepła promieni słonecznych. Zapobiega to zbytniemu nagrzaniu wnętrza budynku, zaopatrzonego ponadto częściowo w urządzenia klimatyzacyjne. Stalowa rdza i kolorowe szkło znakomicie harmonizują z sobą tonacją barw.

Zarówno forma jak i materiał owego dziwnego budynku postawiły przed

czynsz każdego z tych mieszkań wynosi 3.000 franków szwajcarskich.

## MUZEOBUS RUSZYŁ PO FRANCJI

Poprzez małe miasteczka i wsie ruszył we Francji muzeobus, tj. autobus z przyczepą, w której zamontowano jakby małe muzeum z obrazami. Specjalne urządzenie w przyczepie pozwala na otwarcie jej ścian i obejrzenie ekspozycji plócen przez pięćdziesiąt do stu osób. Przedsięwzięcie to jest jeszcze w stadium eksperymentalnym. Toczy się równocześnie dyskusja czy zadaniem tego rodzaju akcji muzeobusowej ma być systematycznie zaznajamianie widzów z dziełami sztuki czy też tylko obudzenie w nich chęci odwiedzania stałych muzeów i galerii sztuki. A więc muzeobus zastępuje muzea czy też przeciwnie ścigać do nich ludność z małych miasteczek i wsi odległych od centrów miejskich? Czy pokazywać oryginały, co zawsze łączy się z niebezpieczeństwem uszkodzenia lub kradzieży cennych dzieł sztuki, czy też pokazywać dobre reprodukcje? Czy także wystawy muzeobusowe mają być darmo czy za opłatą? W pierwszej kolejności muzeobus pokazywał wystawę dzieł Rouaulta. Stwierdzono z satysfakcją, że ekspozycja, tego przecież dość „trudnego” malarza wywoływała ogromne zainteresowanie nawet w małych, odległych od miast, wioskach. Obecnie francuskie Ministerstwo Kultury urządziło w muzeobusie wystawę obrazów i grafiki Fernanda Légera.

## JAK FACZYŚCI „UCZILI” 90-LECIE PICASSA

Gdy w dniu 25 października przygotowywał się do wygłoszenia odczytu ku czci 90-lecia Picassa, hiszpański krytyk sztuki José María Moreno Galvan został brutalnie zaarrestowany przez policję hiszpańską w auli uniwersytetu madryckiego. Około tysiąc studentów, którzy chcieli wziąć udział w uroczym 90-tej rocznicy uro-

dzin genialnego rodaka zostało rozprzeczonych przez policję.

Tego samego wieczoru został też aresztowany malarz Eusebio Sempere, który zaprotestował uprzednio przeciw konfiskacie przez policję magnetofonu przeznaczonych do zarejestrowania śpiewów i poematów, jakie artyści mieli zamiar nagrać na taśmie magnetofonową aby prześlą ją w hołdzie Picassowi. W dwa dni potem w nocy José María Moreno Galvan został osadzony w więzieniu i nałożono na niego grzywnę w wysokości 250 tysięcy pesetów. Jeśli odmówi zapłacenia tej kary grozi mu trzymiesięczny pobyt w więzieniu. Wystawa grafiki Picassa w Madrycie w galerii Theo, zorganizowana dla uczczenia 90-tej rocznicy urodzin Picassa, została bestialsko zniszczona przez grupę faszystów.

Zniszczyli oni dwadzieścia cztery dzieła Picassa spośród dwudziestu sześciu. Straty oceniane są na sześć milionów pesetów.

## WYSTAWA SZTUKI GRUZIŃSKIEJ

Ostatni jak dotąd, 10-ty numer „Iskustwa” z br. przynosi m. in. omówienie interesującej wystawy plastyków gruzińskich. Wystawa ta w stolicy Gruzjińskiej SRR, Tbilisi została zorganizowana w ramach obchodów pięćdziesięciolecia istnienia radzieckiej Gruzji. Zaprezentowano dzieła malarstwa olejnego i akwareli, rzeźbę, grafikę i sztukę stosowaną jak ceramika (rodzaj metaloplastyki), ceramika, tapiceria, ilustracje książkowe, dekoracje teatralne i wyroby artystyczne ze szkła.

Charakterystyczną ogólną cechą wystawianych dzieł jest to, że gruzińscy artyści pragną łączyć bogate tradycje ludowej sztuki z przedstawianiem życia współczesnej socjalistycznej Gruzji. Wśród eksponowanych dzieł wyróżniły się m. in. prace takie jak np. „Kolchoźnice” akwarela, której autorem jest W. Gudiaszwili. Dzieło wyróżniające się niezwykle piękną kompozycją, czystością i oszczędnością linii, oraz szczególną dekoratywnością. Dekoratywnością

rakterystycznych postaci widzianych przez malarza ze swoistym humorem, a sam twórca płótna nie o-mieszkał umieścić i siebie z kielichem w ręku w prawym dolnym rogu obrazu.

Ponadto autor artykułu w „Iskustwie” omawia obszerniej prace kilku artystów wyróżniających się czy to siłą ekspresji, czy ciekawym ujęciem tematyki pracy i dnia powszedniego. M. in. dość szczegółowo recenzuje także prace olejne jak: „Batumsy



W. Gudiaszwili — „Kolchoźnice”

charakteryzuje się też olejny obraz „Ansał-Anaź” (Święto jesieni). Ch. Gasijewa. W obrazie tym zwraca zwłaszcza uwagę nie-

nafciarze” Tuguszlego, „Strzyżenie owiec” Cuchiszwillego oraz dzieło wykonane tuszem pt. „Szewc”, którego autorem jest D. Eristawli.



Ch. Gasijewa — „Ansał-Anaź” (Święto jesieni)

„Kupa rdzy nad jeziorem” — gmach „Ferro” w Zurychu

jego budowniczymi szeregiem problemów do rozwiązania. I tak np. stalowe blachy już podczas wznoszenia gmachu musiały być przelutowane, aby nie rdzewiały z obydwu stron, co groziłoby ich przedwczesnym na wyłot. A więc każda kropla wody musiała być starannie usuwana. Ponadto na placu, na którym wznoszono ów gmach lustro wody gruntowej jest wyjątkowo wysokie, pomieszczenia piwniczne musiano umieścić jakby w wielkiej wannie z betonu. Koszt budynku wyniósł siedem milionów franków szwajcarskich. Nad czterema piętrami, przeznaczonymi na biura, znajdują się dwa piętra z luksusowymi mieszkaniami skąd przez okna rozciąga się wspaniały widok na Jeziore Zurychskie. Miesiącny

zobowiązanie do rozwiązania. I tak np. stalowe blachy już podczas wznoszenia gmachu musiały być przelutowane, aby nie rdzewiały z obydwu stron, co groziłoby ich przedwczesnym na wyłot. A więc każda kropla wody musiała być starannie usuwana. Ponadto na placu, na którym wznoszono ów gmach lustro wody gruntowej jest wyjątkowo wysokie, pomieszczenia piwniczne musiano umieścić jakby w wielkiej wannie z betonu. Koszt budynku wyniósł siedem milionów franków szwajcarskich. Nad czterema piętrami, przeznaczonymi na biura, znajdują się dwa piętra z luksusowymi mieszkaniami skąd przez okna rozciąga się wspaniały widok na Jeziore Zurychskie. Miesiącny

zobowiązanie do rozwiązania. I tak np. stalowe blachy już podczas wznoszenia gmachu musiały być przelutowane, aby nie rdzewiały z obydwu stron, co groziłoby ich przedwczesnym na wyłot. A więc każda kropla wody musiała być starannie usuwana. Ponadto na placu, na którym wznoszono ów gmach lustro wody gruntowej jest wyjątkowo wysokie, pomieszczenia piwniczne musiano umieścić jakby w wielkiej wannie z betonu. Koszt budynku wyniósł siedem milionów franków szwajcarskich. Nad czterema piętrami, przeznaczonymi na biura, znajdują się dwa piętra z luksusowymi mieszkaniami skąd przez okna rozciąga się wspaniały widok na Jeziore Zurychskie. Miesiącny

zobowiązanie do rozwiązania. I tak np. stalowe blachy już podczas wznoszenia gmachu musiały być przelutowane, aby nie rdzewiały z obydwu stron, co groziłoby ich przedwczesnym na wyłot. A więc każda kropla wody musiała być starannie usuwana. Ponadto na placu, na którym wznoszono ów gmach lustro wody gruntowej jest wyjątkowo wysokie, pomieszczenia piwniczne musiano umieścić jakby w wielkiej wannie z betonu. Koszt budynku wyniósł siedem milionów franków szwajcarskich. Nad czterema piętrami, przeznaczonymi na biura, znajdują się dwa piętra z luksusowymi mieszkaniami skąd przez okna rozciąga się wspaniały widok na Jeziore Zurychskie. Miesiącny



## MYŚLI O INTEGRACJI

KTO WIDZIAŁ DUCHY? — KUPA PANOWIE — JAKA INTEGRACJA? — FILOZOFIA KALEGO — BRAK POLITYKI — BELKI I ŻDZBŁA — HARMONIJNE SCALENIE

Ostatnio dużo się w Łodzi mówi na temat integracji. Szczególnie w środowiskach twórczych jest to temat nieustannie dyskutowany i narad. Wszyscy są w zasadzie zgodni co do tego, że integrować się należy i nikt właściwie nie ma nie przeciwko integracji jako takiej.

Z integracją jest trochę tak, jak z duchami — mało kto je widział, ale wszyscy wierzą, że istnieją. Może więc jednak na wstępie powiadmy po ludzku, o co chodzi.

Według Słownika Wyrazów Obcych słowo — integracja — oznacza scalanie, proces tworzenia całości z części, bądź włączanie jakiegoś elementu w całość, lub zespolenie jakiegoś elementu w całość, lub zespolenie i zharmonizowanie składników zbiorowości

społecznej. Jest więc absolutnie integracyjnym hasłem zawołanie — „Kupa, panowie”.

Ale do rzeczy. Uczestniczyłem ostatnio w wielu oficjalnych i prywatnych dyskusjach na temat integracji środowisk twórczych Łodzi i muszę przyznać, że mam nieco zamętu w głowie i trochę wątpliwości.

Okazuje się, że pod to pojęcie każdy właściwie dyskutant i każde środowisko podkłada wygodnie sobie treści i wiąże z procesem integracji własne nadzieje. Integracja wszakże nie może być instrumentem nacisku jednego środowiska na drugie. Przecież w fundamentalnej definicji tego słowa jest wyrażenie mowa o zharmonizowaniu składników w zbiorowości społecznej. Jeśli więc ma zapanować

ową harmonia, nie zaczynały rozmowy o integracji od zdania: „Tylko niech o n i sobie nie myślą, że my...” i tak dalej.

Słyszałem, na przykład, że niektórzy aktorzy integrację ze środowiskiem dziennikarskim wyobrażają sobie jako cichą umowę z prasą na recenzje pochwalne. Oczywiście nonsens.

Słyszałem w tych dyskusjach i taki wywód: „Integracja prasy ze środowiskiem literackim nie może oznaczać, że będziemy publikować remanenty pisarskie i chwalić wszystkich książki łódzkich pisarzy...” Jestem pisarzem w tym samym stopniu, co dziennikarzem i muszę przyznać, że pierwszy raz słyszę, aby łódzkie środowisko literackie domagało się dobrych recenzji od łódzkiej prasy. Chodzi o coś innego, chodzi o poważne recenzje w ogóle — o dostrzeżenie dorobku środowiska, o krytykę także, bo jeszcze żadna literatura nie obyła się bez czyśca krytyki.

Zdarza się więc najczęściej, że nasze rozmowy o integracji cechuje podstawowy brak. Brak autentycznego rozeznania w faktach, brak rzetelnej wiedzy

o partnerze, z którym chcemy się zintegrować.

Dziennikarze mówią: „Integracja na zasadzie otwartych łamów gazet dla literatury — nie!” A jednocześnie mówią: „Integracja na zasadzie druku książek pisanych przez dziennikarzy — tak!” No, więc jak z tą harmonią? Jeśli Kalemu ukrasć krowę, to źle, jeśli Kali ukrasć krowę — to dobrze?

Z filozofią Kalego integracji się nie zrobi.

Mówiąc o braku wiedzy o partnerze mam również na myśli niektóre głosy środowiska literackiego. Otóż uparcie od lat powtarza się w niektórych kręgach tezę o niedostrzeżeniu środowiska przez prasę. Jest to oczywiście nieprawda. Gazety mają swoje funkcje informacyjne i polityczne i są to funkcje nadrzędne, ale przecież w codziennej prasie są i recenzje i wywiady z pisarzami. Niektórzy pisarze mniej lub bardziej systematycznie współpracują z codzienną prasą. Oczywiście współpracują ta obejmują gatunki typowe dziennikarskie — i jest to rzecz normalna, a więc artykuł, felieton, wypowiedź... Nie jest więc prawdziwa teza,

że prasa nie dostrzega środowiska literackiego.

Myślę natomiast, że w poczynaniach integracyjnych winniśmy zmierzać do wypracowania i określenia polityki wydawniczej i redakcyjnej, do szukania form i metod realizacji owego scalenia ludzi tego miasta w jeden front.

Bo w końcu stanowimy jeden i ten sam pień, słowo jest tworzywem naszej pracy i choć różne są formy, metody i warunki działania, wszyscy — i dziennikarze i literaci — zajmujemy się uprawą słów. Nie widzę więc żadnych racjonalnych podstaw do tego, aby literat widział żdźbło w oku dziennikarza, a nie widział belki w oku własnym — i odwrotnie, aby ta belka we własnym oku nie uwierala dziennikarza, a irytowało go żdźbło w oku literata. Belki i żdźbła trzeba odrzucić, jeśli rozmowy o integracji mają mieć jakikolwiek sens.

A muszą mieć sens, bo ma sens harmonijne scalenie działania ludzi pióra w nowej, optymistycznej przecież — sytuacji w naszym kraju i naszym mieście.

JERZY WIDOK

# Bez strachu

## DELIKATNOŚĆ

Znałem kiedyś człowieka delikatnego, znałem — bo obecnie nie wiem, gdzie jest i gdzie nie jest. Zimą chodził odziany w dwa pałta, jedno nalone normalnie, natomiast guziki drugiego zapięte były na plecach. Śmieszna i zarazem groźna była konkurencja dwóch kołnierzy, łągodzona i podkreślana przez konkurencję dwóch szali. Nosił wtedy kapelusz na czapce, lub czapkę na kapeluszu. Nogi miał odziane w zawily zestaw kilku par obuwia. Rozbięło go, bądź ubierało kilku ludzi, czyniąc to, oczywiście, możliwie delikatnie. Latem cierpiał od gorąca, moczył się całymi dniami w zimnej wodzie, usiłował wychodzić nago na ulicę, popadając przez to w konflikt z prawem obyczajowym, który to konflikt przeżywał z właściwą sobie wrażliwością. Właśnie latem, w gorące noce, śnił mu się smoki, pragnące go spalić strumieniami ognia, zimą śnił śnieżne olbrzymy, duszące go śniegiem. Nigdy nie znalazł obuwia, które nie przyprawiłoby go o odciski, nie znalazł bielizny, która nie czerwieńłaby mu skóry, nie znalazł przyjaźni, który nie ranilby go milczeniem. Męczyło go cho dzenie, usiłował zatem siedzieć. Każdy jednak fotel przyprawił go o ból pośladków, kiedy leżał, zapadł w posłanie zbyt miękkie i miał wrażenie, że tonie. Na posłaniach twardych gnioty go olbrzymie obęgi. Jeszcze gorzej było z jego aparatem psychicznym, piask wody stawał się ogarniającym go oceanem. Dalekie szczykanie piaska — rykiem groźnej besuli. W słowach wszystkich ludzi słyszał gromką pogroźkę. „Ciszej, na Boga, ciszej” — białal wszystkich, zatykając uszy. Ale raziły go też obrazy wzrokowe. Wydawało mu się, że ludzie wchodzą w niego. „Dalej, na Boga, dalej” — prosił. Przerazała go zarówno obecność ludzi jak i zagadkowa pustka miejsc bezludnych. Dręczyło go chodzenie, leżenie, siedzenie, stanie, kłęczenie i pozostawanie w pozycji przy siadku, bądź przysiadu podpartego. Zie było u niego także ze skakaniem i ze stanieniem na głowie. Usiłował wyjść z siebie, ale mu się to nie udawało. Zatrzymał się w pół drogi i do połowy był w sobie, a do połowy poza sobą. I w sobie i poza sobą był to mu źle. Pewnego dnia wyjechał bardzo daleko, do okrutnej, groźnej krainy. Po pewnym czasie przyszyi o nim wieści. Podobno łowi najgroźniejsze zwierzęta, walczy z najgroźniejszymi bandytami, a matki w owej odległej krainie straszą jego imieniem dzieci.

BERNARD SZTAJNERT





# Decyzja

Pierwszy robotnik pracujący na budowie mówił: — Było ich dwóch. Bili się przed oknem jak szaleńcy. Jeden drugiego chciał zrzucić. I wreszcie spadli obaj na bruk.

Inny robotnik budowlany twierdził: — Było ich trzech. Początkowo zdawało mi się, że ten trzeci chciał ich rozdzielić, lecz przyjrawszy się lepiej zauważyłem, że tkwił ich obu.

Świadkowie upierali się przy swoim, należało więc zbadać ich wzrok: pierwszy robotnik miał doskonały, drugi — słaby. Scena rozgrywała się o zachodzie słońca, widoczność była słaba, gdy Dennis White i Greg Meris wypadli z hotelowego okna. Obaj byli pijani.

Polcja stwierdziła, że przed hotelem budowano dom, robotnicy odeszli już po skończonej dziennej pracy, prócz dwóch, którzy zaobserwowali scenę bójkę w oknie...

Później, siedząc w gabinecie szeryfa zapytałem: — Co o tym myślisz, Charlie?

— Dziwna sprawa. Dwóch mężczyzn przyjeżdża z Chicago, żeby się pobić i zginąć z roztrzaskaną głową. Jeden z nich kawaler, drugi żonaty, obaj pracowali w firmie Fox Corporation. Przybyli do hotelu o godzinie 15, zajęli oddzielne pokoje. Ciało ich znaleziono na podwórzu o 20.

— Co się z nimi działo w ciągu tych czterech godzin?

— Chyba się nigdy tego nie dowiemy.

— Jest przecież żona Grega Merisa, może coś nam powie. Kiedy przyjeżdża?

— Pociągami dziś o 8.

Przyjechałem na dworzec o 8. Zobaczyłem kobietę niezwyklej piękności.

— Czy pani Fay Meris?

— Tak.

— Jestem zastępcą szeryfa, nazywam się Larry Cloy. Jaką wiadomość przekazała pani policja?

— Sierżant powiedział: „Proszę udać się do Naton City, aby zidentyfikować zwłoki męża. Spadł z okna hotelu”.

— Sierżant mógł to załatwić trochę delikatniej, ale trudno. Czy pozwoli pani do mego samochodu?

Przyglądając się kobiecie w czasie jazdy, oceniałem ją w myśl: jedyna w świecie, czarująca, młoda, doskonale kształt...

— Czy pani zna Dennisa White? — zapytałem.

— Tak. Mąż pracował z nim w Fox Corporation. Był kierownikiem oddziału, a Dennis podróżował w sprawie zakupu zwierząt rzeźnych, z których firma produkowała konserwy. Ostatnio był wydelegowany do Naton City...

Odprowadziłem panią Meris do prosekutorium. Chociaż twarz męża była zmasakrowana, żona poznała jego ubranie, znaki na ramieniu i na ręce.

Następnie pojechałem z nią do szeryfa, gdzie poczęstowaliśmy ją winem. Nie była rozmowna, lecz udało nam się wydobyć prawdę. Jeżeli obaj mężczyźni bili się do zabójstwa, przyczyna musiała być dramatyczna.

— Czy była pani kochanką Dennisa White? — zapytał szeryf. — A mąż był zazdrosny?

Kobieta najpierw zaprzeczyła a potem zaczęła płakać.

— Prosiłam męża o rozwód, chciałam poślubić Dennisa — przyznała się. — Kochałam go... Nie wiem, co zaszło między nami...

Spisaliśmy wiele protokołów, zebraliśmy zeznania także w Chicago i przedstawiliśmy sądowi olbrzymią dokumentację. Sprawę umorzono.

Odprowadziłem Fay moim autem aż do Chicago. W drodze tłumaczyłem jej, że powinna zacząć życie od nowa, że nie może ponosić winy za to, iż jest piękna i mężczyźni tracą dla niej głowę.

Gadałem różne głupstwa, zakochałem się. A przecież nie wypada, żeby zastępca szeryfa tak się zachowywał jak ja w ciągu tych dni i następnych tygodni. Stałe jeździłem do Chicago, jak tylko miałem chwilę czasu. Jednak przyjaźń, którą mi początkowo Fay okazywała, powoli słabła. Pewnego dnia oznajmiła:

— Larry, jesteś miłym chłopcem, lecz ja cię nie kocham. Nie zastąpił mi ani Grega ani Dennisa. Wybacz moją szczerłość, ale nie chcę znów doznać zawodu.

Niedługo potem znika zostawiając mi tylko list: „Odechdź, gdyż chcę się ocalić od twej ślepej namiltności. Nie szukaj mnie nigdy”.

Gdy kilka miesięcy później przeczytałem w gazecie, że w

Miami na Florydzie pani Meris poślubiła pięćdziesięcioletniego Barry'ego Foxa, właściciela firmy Fox Incorporation, ogarnęła mnie wściekłość. I zrodziło się podejrzenie.

Po dwóch miesiącach gdy dowiedziałem się, że małżeństwo wróciło z podróży poślubnej, udałem się do Chicago i zapukałem do luksusowej willi państwa Fox.

Przyjął mnie Barry Fox. Człowiek ten mógł posiadać wszystkie miliony świata, lecz brakowało mu urody. I ten brzydal zdobył taką superpiękność!

W salonie była także Fay. Rzuciłem jej wściekle spojrzenie, nienawidziłem jej.

— Szczerze mówiąc — rzekł Barry — nie rozumiem celu pańskiej wizyty.

— Zaraz wyjaśnię. Jest w szafie szeryfa jeden dokument sprawy nie odesłany jeszcze do archiwum — skłamałem. — „Gwałtowna śmierć Dennisa White i Grega Meris”. Jak wiadomo według wersji przyjętej przez sąd, było dwóch mężczyzn usiłujących zrzucić jeden drugiego z okna. Lecz inny świadek stwierdził, że widział trzech mężczyzn. Szczerzy i ja jesteśmy zdania, że ta druga wersja jest bliższa prawdy. Możliwe, iż ten trzeci człowiek został przez kogoś oplacony, żeby wykończył męża i kochankę pani Meris. Może stali się niewygodni dla jakiegoś mężczyzny, który chciał zdobyć tę kobietę.

Fox przyglądał mi się zdumiony. — To nie do wiary, to potworne! — krzyknął. — Przyszł pan do mego domu, aby mnie oskarżyć, że straciłem tych dwóch z okna! — Wstał. — Daję panu dziesięć sekund na opuszczenie tego domu! I na tym się nie skończy, mój młodzieńcze, choćbym miał wszystko stracić!

Spojrzałem na Fay. Wstała i zbliżyła się do męża.

— Muszę ci wyjaśnić, kochanie, że pan Larry Cloy nie mówił tego wszystkiego jako szeryf, lecz jako odepchnięty przeze mnie wielbiciel. Jestem pewna, że odejdzie i zniknie z naszego życia. Prawda, panie Cloy, iż pan żałuje swego głupiego zachowania?

— Dziękuję za whisky — powiedziałem i wyszedłem.

Nigdy nie czułem się tak ponizony i przegrany.

Upłynęły trzy miesiące. Pewnego dnia odezwał się telefon z Chicago. Dzwoniła Fay.

— Larry, przyjeżdż natychmiast pod ten adres: 28 Ulica, 82.

Poleciałem samolotem i po dwóch godzinach byłem u niej. Zajmowała luksusowe mieszkanie na peryferiach miasta. Była piękna jak zwykle, lecz przerażona.

— Nie mieszkam tutaj — odpowiedziała na moje pytanie. — To nie są moje rzeczy. Dziękuję ci, że przyjechałeś, Larry. Przeżywam najstraszniejszą

chwile mego życia, musisz mi pomóc, tylko ty jeden mi pozostałeś. Wpakowałam się w okropną kabałę. Oszałamie... — Zaczęła płakać.

— Uspokój się, opowiedz wszystko od początku.

— Trzy miesiące temu powiedziałem mojemu mężowi, że śmierć Dennisa i Grega nie wydawała ci się jasna i podejrzewałem, iż działała tu jeszcze jedna osoba. Miałeś rację. Drugi robotnik, któremu sąd nie dał wiary, widział tę scenę dobrze: była tam trzecia osoba.

— Pewnie jakiś najemny zabójca wysłany przez Foxa, żeby ich obu zabił?

— Nie, nie, na miłość boską Fox jest niewinny, o niczym nie wiedział. Tym trzecim mężczyzną był Greg Meris, mój mąż...

— Ten, co roztrzaskał się na bruku?

— O, nie! Ten, którego zidentyfikowałam jako mego męża to był pewien człowiek

przebrał go we własne ubranie wraz z dokumentami na nazwisko Greg Meris. Podarował mi nawet pierścionek, który zawsze nosił na palcu. Następnie wszedł do pokoju Dennisa i Gaylorem i przyniósł trzy butelki whisky. Po dwóch godzinach Dennis i Gaylor byli pijani. Nietrudno było ogłuszyć ich obu i zrzucić z okna. Greg nie spodziewał się, że na budowie przed hotelem została dłużej ci dwaj robotnicy. Na szczęście śledziwo mu sprzyjało, policja uznała ważność wersji pierwszego robotnika. Greg stał się dla wszystkich człowiekiem zmarłym, mogłam więc poślubić Foxa.

— Czyżby on chciał, żebyś poślubiła Foxa?

— Tak. Chciał, żebym szybko została wdową po drugim mężu i właścicielką wielkiego majątku.

— I on miał się tym zająć?

— Tak. Lecz zaszło coś nie spodziewanego, zakochałam się

mnie. Musiałam do niego przychodzić. Lecz ostatnio wrócił do swej pierwszej żony: chciał zabić Foxa symulując nie-szczęśliwy wypadek. Powiedziałam, że nie pozwolę, lecz on zagroził, że wsadzi nas oboje do więzienia. Fox byłby oskarżony o zabójstwo Dennisa. Dlatego musiałam powstrzymać Grega!

— W jaki sposób?

Fay wskazała mi sypialnię. Światło było jeszcze zapalone, gdy wszedłem. Na podłodze leżały zwłoki mężczyzny z roztrzaskaną czaszką.

— Musiałam to zrobić — mówiła najpiękniejsza kobieta świata. — Greg miał wykonać swój plan zabić wicezorem. Larry, musisz mi pomóc, nie mam nikogo. Dam ci wszystko, co zechcesz... Pieniądze, siebie... Lecz błagam, uwolnij mnie od tych zwłok... Przecież oficjalnie Greg nie żyje!

Przyglądałem się jej. Była wystraszona, bezbronna. Była



Fot. Wł. Pietrzyk

z nazwiskiem Gaylor... Pijak, który za kufel piwa zrobiłby wszystko, co mu się kazało. Greg ułożył diabelski plan. Zorganizował w pokoju hotelowym Dennisa partię pokera. Potem zrobił przerwę i wprowadził do hotelu Gaylora tak, że nikt go nie widział. W swoim pokoju

w Barrym. To prawda, że nie jest przystojny, lecz to najlepszy człowiek, jakiego spotkałam w życiu. Kocham go, Larry!

— Widzę to.

— Greg mnie szantażował. Ten apartament, auto, pieniądze — wszystko wyciągnął ode

mnie, tylko wyciągnął rękę... Kobieta, dla której popełniłbym każde szaleństwo. I która o tym wiedziała.

Wyciągnęłam rękę aby podnieść słuchawkę. Poprosiłem telefonistkę o połączenie mnie z centralą telefoniczną... A. S.



## Lewym okiem

### ANGINA PEKAPIENSIS

W instytucjach o dużej dyscyplinie i ostrym tempie pracy, a więc zwłaszcza na wszystkich szczeblach zarządzania przemysłem, uchodzi już za oczywistość zwyczaj, że pracownik wystany w delegację wstaje bardzo wcześnie, spędza w pociągu cztery — pięć godzin, potem konferuje osiem lub więcej, potem tylko obiad razem z kolacją i pędzi na pociąg. Następnie znów cztery — pięć godzin w drodze, powrót do domu o północy, trochę mycia, jedzenia — więc już pierwsza godzina, a o szóstej rano normalnie do biura. Taki dwudziestogodzinny dzień pracy z dziesięcioma godzinami w pociągu jest naszym chlebem powszednim i nikt ani okiem z tego powodu nie mrugnie.

Więc czasem jednak jedzie się naprawdę pierwszą klasą, żeby przynajmniej wygodnie posiedzieć.

W dniu 19 listopada wracałem pierwszą klasą z Radomia. Wagon aż do Tomaszowa był nie ogrzany. Zim-

ny i już. Może w innych było cieplej, ale tam był ścisk, a tu wygodą. Za tę zimną wygodę zapłaciłem — a właściwie mój pracodawca, czyli skarb państwa, zapłacił — o połowę więcej. Za tę nadpłatę wróciłem z ciężką grypą, która też będzie kosztować skarb państwa, ale mnie osobiście bardziej boli gardło niż przelew z jednej kieszeni państwowej do drugiej.

W Tomaszowie przesiadka do innego pociągu. Inny pociąg miał pierwszą klasę ciepłą, ale za to ciemną. Przeraził mnie smutek tych ciemnych przedziałów przypomnieli mi rok czterdziesty szósty, tylko że dziś trudno się pocieszać ledwie co zakończoną wojną.

Tematy dziennikarskich zaczepek chodzą stadami i są branże, o których pisze się a pisze do setnego znudzenia, choć nie są gorsze od innych, i są takie, o których nie pisze się prawie wcale. Nie wiem, czy są na to jakieś wytyczne, czy to przypadek, czy oportunistyczne przekonanie niektórych dziennikarzy, że atakować lepiej tych, których już ktoś inny zaatakował. Bardzo mało lub wcale nie pisze się o branży przewoźniczej, a warunkach, w jakich podróżujemy.

Sweterki i bluzki były przez całe lata brzydkie i drogie, ale są coraz lepsze, ładniejsze i łatwiej dostępne. Tak samo obuwie, odzież, koszulki, pończochy. Tylko warunki podróżowania są coraz gorsze. Tak jest, coraz gorsze.

Chodzi nie tylko o to, że w aktualnym rozkładzie PKP wszystkie przejazdy na niektórych trasach są o 15 — 20 minut dłużej niż w latach poprzednich. Przykład: Łódź — Poznań. I nie tylko o to chodzi, że ten aktualny, zwolniony rozkład jazdy w rzeczywistości dotrzymywany jest może w połowie. Ze awarii jest ciut za dużo. Że prawie nigdzie nie ma

wagonów restauracyjnych, a w tak zwanych bufetach jest tylko piwo i kompot z kapusty, zwany bigosem. Chodzi jeszcze i o sprawę, na pewno nie wymagającą inwestycji, pieciolatek, analitycznych syntez i syntetycznych analiz: żeby żarówki były gdzie trzeba, a często ich nie ma. Żeby były do świecenia, a nie do pucu, bo przy tych co są nawet do własnego nosa trudno palcem trafić, nie mówiąc o czytaniu gazety lub książki w czasie długiej podróży. Żeby okna i drzwi otwierały się i zamykały na życzenie pasażerów, a nie samoczynnie, kiedy chcą. Żeby deski klozetowe (przepraszam delikatnych Czytelników) nie sterczały uparcie w połowie drogi, w pozycji uniemożliwiającej w ogóle zachowanie jakiejś takiej czystości. Żeby tam w ogóle ktoś czasami, na postoju, zajrzał ze ścierką, proszkiem i papierem. Żeby w tramwajach — to również podróż, chociaż na szczęście krótsza — wisiały solidne uchwyty dla stojących, a nie ohydne, postrzępione szczątki czegoś, co może kiedyś było uchwytem. Żeby w pekaśach dalekobieżnych nie padał deszcz na głowy pasażerom, co zdarza się niezmiernie często. Żeby wszyscy funkcjonariusze — kolejni, autobusowi, tramwajowi — indagowani o ciepło, światło, czystość, porządek i punktualność nie odpowiadali ze wzruszeniem ramion, że to nie ich sprawa...

Ja nie wiem, czyja to sprawa; pana Kowalskiego, czy pana Nowaka. Prawdopodobnie jak zwykle okaże się, że jest to sprawa niczyja i na niniejszy felieton też nikt nie zareaguje.

Też nikt nie pomarzył nie wolno, leżąc z kolejową grypą w ciepłym, widnym pokoju?

CWIEK